W numerze: Szkoła łódzka dziś i jutro ● Bardzo dziwne miasto ● Od rana do zmierzchu ● Klęska pod Warną ● Wacław Przybylski – rysownik dawnej Łodzi ● Ludwik ● Recenzje ● Felietony ● Polonica

odgłosu

HONOROWA ODZNAKA M. ŁODZI

Nr 45 (349)
8. XI. 1964 R.
10 stron
CENA 1 ZŁ.

TYGODNIK ROK VII

BORYS SŁUCKI

PAMIĘCI ŁUNACZARSKIEGO

Pamięci Łunaczarskiego
Napisać wiersz by trzeba:
On balet chciał ocalić,
Gdyśmy nie mieli chleba.

Ochrypną krtanie chórów,
A kto nakarmi krtanie?
I konie — nawet z brązu —
Nie mogą żyć bez siana.

Wiedział to Łunaczarski,
Szedł w puste magazyny.
Dla muzykantów wódka,
A chleb dla baleriny.

A było chłodno, głodno.
A komu to potrzebne:
Łabędzie w białym tańcu,
Turkawek głosy rzewne.

A trzeba, czy nie trzeba.
A komu, a dlaczego.
Nie chcieli komisarze
Słuchać Łunaczarskiego.

I poszedł Łunaczarski
I rekwirował sale
I chleb przynosił w dłoniach,
Bo chciał ocalić balet.

A Moskwa była szara,
A Moskwie chciał pokazać:
Będzie nad szarym miastem
Tańczyć w obłokach balet.

Wie, komu tańczyć, balet,
Gdy czas jest wzlecieć w niebo:
Zatańczmy, towarzysze,
Na cześć Łunaczarskiego.

Tłum. JAROSŁAW MAREK RYMKIEWICZ

STEFAN FLUKOWSKI

SPOTKANIA NAD NEWĄ

W pewien lipcowy wieczór leningradzki zaproponowano nam odwiedzenie Olgi Matiuszinv. Poinformowano nas, że liczy lat przeszło osiemdziesiąt, jest niewidoma, odegrała pewną rolę w rewolucji jako działaczka kulturalna, zaprzyjaźniona z siostrą Lenina, Marią Ulianową, stykała się z Leninem i Nadieżdą Krupską. Znała też blisko Majakowskiego. Pisze i wydaje książki, wspomnienia. Od młodości przebywa w Leningradzie. Kawał historii...

Białe noce kurczyły się, ale jeszcze nie dopuszczały zupełnego mroku, morze napełniało miasto ciepłym tchnieniem, łagodnymi podmuchami świeżości i uspokojenia. Skręciliśmy na most, przejechaliśmy Newę i po dziesięciu minutach przystanek. Trzeba było jeszcze podejść dość pustymi ulicami, wreszcie Piesocznaja. I tam także dotarł wielki ruch budowlany Kraju Rad; ale drewniany piętrowy dom w ogrodzie, okolony starymi dębami, lipami i krzewami ocalał nienaruszony. Stoi jak stał przed pierwszą wojną światową, tylko, że z pamiątkową tablicą na ścianie. Tablica głosi, że w latach ostatniej wojny mieszkał tu i tworzył znakomity dramaturg Wsiewołod Wiszniewski. Tutaj właśnie pisał „Tragedię Optymistyczną". Dom ocalał od rozbiórki, bo mieszka w nim Matiuszina.

Właścicielkami tej posesji były siostry Guro, Katarzyna i Helena, powiązane z ruchem rewolucyjnym i środowiskiem literacko-artystycznym ostatniego dziesiątka lat carskiej Rosji. W głębi ogrodu otaczającego dom, stała oficyna, gdzie mieszkała Helena Guro z mężem Michałem Matiuszinym. Obie Guro zaopiekowały się młodziutką dziewczyną, kiedy wyrzucono ją z carskiego więzienia w groźnym stadium gruźlicy. Moribundów pozbywano się jak śmieci. Helena pochyliła się nad leżącą nieprzytomną na ulicy Olgą Konstantynowną, i uratowała jej życie. Po kuracji odbytej w sanatorium Katarzyna Guro przywiozła ją do Petersburga, do swego domu. I tam, młodziutka, prowincjonalna dziewczyna z dalekiej Wiatki, bibliotekarka nielegalnej wypożyczalni książek i broszur agitacyjnych, znalazła się nagle w środowisku poetów, artystów, uprawiających nowe kierunki w poezji i malarstwie — m. in. futuryzm. Sztuka zaatakowała ją ze wszystkich stron. Helena Guro była poetką i malarką, mąż jej, Michał Wasiliewicz Matiuszin — malarzem i muzykiem, ich otoczenie to czołówka, ówczesna najzdolniejsza artystycznie młodzież, która miała przeobrazić dotychczasowe poglądy artystyczne, tworzyć nowoczesną sztukę rosyjską. Odtąd życie Olgi potoczy się dwiema drogami — rewolucjonistki, działaczki oświatowej i kulturalnej, bliskiej współpracowniczki W. D. Boncz-Brujewicza, a jednocześnie najczulszej przyjaciółki i powierniczki artystów, gotowej zawsze pomóc każdemu twórcy, z poświęceniem własnej osoby, aż do samounicestwienia.

I tak, całe dziesiątki lat była bibliotekarką, redaktorką, organizatorką wydawnictw, propagandystką książki i literatury. Pracowała w przedrewolucyjnych wydawnictwach „Naprzód" i „Życie i wiedza", od r. 1918 w wydawnictwie „Komunista". Książka dla tej młodej działaczki była wszystkim. Podobnie jak inni rewolucjoniści owych czasów wierzyła święcie, że nauka i literatura piękna przeobrażą umysł ludzki w siedlisko dobra, piękna, rozsądku, co z kolei przyniesie całej ludzkości szczęście i pokój.

Oto w cichy, późny wieczór lipcowy,

Dalszy ciąg na str. 4

ze ŚWIATA

W chwili, gdy Czytelnik weźmie do ręki niniejszy numer „Odgłosów" – znane już będą wyniki wyborów prezydenckich w Stanach Zjednoczonych, jak również wyborów do Izby Reprezentantów i części Senatu (wybiera się trzecią część senatorów). Znane będą ponadto nazwiska 26 nowych gubernatorów, w takiej bowiem ilości Stanów wylaniano nową władzę wykonawczą.

W momencie jednak, kiedy Wasz komentator przygotowuje materiał do druku, kampania wyborcza jeszcze trwa. Mimo to bez trudu można przewidzieć jej wynik i z góry podzielić optymizm partii demokratycznej, zdaniem której zwycięstwo wyborcze powinno przynieść „rozmiary, jakich nie znano od czasów Roosevelta".

Zresztą na dwa, trzy dni przed wyborami opinia prasy światowej była zgodna: „Goldwater nie przejdzie, to jest już pewne".

Pozostawmy jednak wybory na boku, a zastanówmy się przez chwilę, jaka jest aktualnie sytuacja na Zachodzie i jak może to wpływać na dalszy rozwój stosunków Wschód-Zachód.

Co charakteryzuje tę sytuację przede wszystkim?

Zwycięstwo polityki angielskiej Partii Pracy oraz zakończenie „interregnum" w Stanach Zjednoczonych. Charakteryzuje ponadto duża żywotność polityczna Francji (egzemplum: podróż de Gaulle'a do krajów Ameryki Łacińskiej oraz ultimatum w sprawie polityki rolnej EWG), nieustabilizowanie we Włoszech, także pewien niepokój i dezorientacja w Niemczech zachodnich.

Wszystko to może zmienić dotychczasowy układ sił w bloku atlantyckim i zmusić do postawienia na porządku dnia nowych problemów, a zdjęcia, względnie przełożenia na późniejszy termin, innych. Odnosi się to z jednej strony np. do postulatów pewnej reorganizacji NATO, z drugiej zaś – do koncepcji wielostronnych sił nuklearnych, co było jednym z głównych tematów rozmów Gordon-Walkera w Waszyngtonie.

Komentarze na ten temat zawierają już same tytuły wiadomości o waszyngtońskim spotkaniu. Zacytujmy niektóre: „Brytyjczycy chcą mówić o wielostronnych siłach jądrowych dopiero później", „Londyn naciska na USA: odroczyć sprawę wielostronnych sił", „Czy amerykańskie nadzieje na razie odroczone?" itp.

Choć na powitanie brytyjskiego ministra przygotowano swoistą demonstrację w postaci pierwszego rejsu niszczyciela o 7-narodowej załodze – sprawa nie została przesądzona i chyba poczeka na rozstrzygnięcie do przyjazdu Wilsona do Stanów Zjednoczonych. Wizyty tej oczekuje się w grudniu. Przypuszcza się, że wtedy też W. Brytania wystąpi z nowymi propozycjami, w myśl których siły nuklearne NATO miałyby oprzeć się głównie na kontyngentach USA i W. Brytanii, co pomniejszałoby jednocześnie rolę NRF.

Mówiąc o projektowanym spotkaniu Johnson – Wilson winien jestem Czytelnikom pewne wyjaśnienie. W jednym z komentarzy podałem bowiem, że po zwycięskich wyborach Johnson jeszcze w listopadzie odwiedzi europejskie kraje członkowskie NATO. Tymczasem ostatnie doniesienia agencji zachodnich sygnalizują odroczenie wizyty. I to z dwóch następujących powodów:

– wiceprezydent – bez którego Johnson nie chce opuścić kraju – będzie mógł objąć urząd nie bezpośrednio po wyborach, lecz po oficjalnym wprowadzeniu go, a więc po 20 stycznia;

– kampania wyborcza nie pozwoliła na staranne przygotowanie spotkań, a to w związku z nowymi wydarzeniami stało się tym bardziej konieczne.

Tak więc zamiast wizyty prezydenta USA w Europie, dojdzie z pewnością wcześniej do wizyt niektórych zachodnich mężów stanu w Waszyngtonie.

Powróćmy jednak do tematu. Już z tego, co powiedziałem powyżej wynika, że w najbliższym czasie świat zachodni zajęty będzie „porządkowaniem własnego podwórka" i wypracowaniem (jeśli w ogóle będzie to możliwe) wspólnych poglądów na główne problemy międzynarodowe. Nie będzie to z pewnością sprzyjać nawiązywaniu nowych kontaktów ze Wschodem.

Z drugiej strony Zachód chciałby poznać premiera Kosygina i zorientować się, czy podobnie jak jego poprzednik, podejmować on będzie „dyplomację osobistą".

Nie wydaje się jednak, byśmy w niedalekim czasie byli świadkami prób nawiązania poważniejszego dialogu na aktualne problemy.

Nie wydaje się również, by Wilson spełnił w najbliższym czasie w drugiej części swą przedwyborczą obietnicę, że będzie często podróżował na trasach: Londyn–Waszyngton i Londyn–Moskwa.

Można więc ze strony Zachodu oczekiwać przez pewien czas tendencji do zamrożenia stosunków ze Wschodem na obecnym poziomie.

Czy będzie to okres wybiegający poza bieżący rok, krótszy lub dłuższy – dziś trudno przewidzieć. Wbrew bowiem zamierzeniom polityków zachodnich może się zdarzyć, że rozwój wydarzeń w tej czy innej części świata będzie skłaniał do wcześniejszych bezpośrednich lub pośrednich kontaktów.

Lista zagadnień międzynarodowych, które mogłyby być tematem tych kontaktów, jest długa. Są na niej liczne problemy o kapitalnym znaczeniu dla światowego pokoju.

W. SŁAWSKI

Pierwsza akcja premiera Wilsona

POLONICA

PAMIĘTNIKI CHAPLINA

Prawdziwym szlagierem na rynku zachodnioeuropejskim stały się pamiętniki Charles Chaplina. Ukazały się one jednocześnie w kilku językach w następujących krajach: Anglii, Ameryce, Francji, Szwecji, Norwegii, Danii, Finlandii i NRF. Mamy przed sobą angielskie wydanie tej książki pt. „My Autobiography", objętości 500 stron druku i z licznymi ilustracjami w tekście. Autobiografia Chaplina zawiera ogromne bogactwo szczegółów z jego życia, zwłaszcza ciekawe są wspomnienia, dotyczące dzieciństwa i młodości artysty. Zwyczajem niniejszej rubryki, zwróciliśmy uwagę na polonicum. Chaplin pisze, iż był czas, że znał dobrze Polę Negri, a nawet się w niej kochał. Pola Negri to, jak wiadomo, pseudonim Apolonii Chałupiec, Polki, która w okresie filmu niemego zrobiła karierę artystyczną na zachodzie Europy. M. in. grała ona główną rolę w przypomnianym niedawno przez naszą telewizję filmie pt. „Niewolnica zmysłów".

WYSTAWA ZBIGNIEWA MAKOWSKIEGO W DUESSELDORFIE

W Hali Sztuki w Duesseldorfie otwarto wystawę prac młodego artysty polskiego, Zbigniewa Makowskiego, który wystawił już w Miami, Sao Paolo, Lozannie i Bochum. Zbigniew Makowski, urodzony w 1930 roku, jest raczej rysownikiem niż malarzem, w którego pracach, zdaniem recenzenta „Frankfurter Allgemeine Zeitung" — nietrudno wykryć wpływy André Bretona. W zakończeniu recenzji autor pisze: „Niebezpieczeństwem Makowskiego jest wirtuozeria. Ale jego szansa istnieje w przekazywaniu niewyczerpanych jeszcze źródeł polskiego folkloru. Jeśli uda mu się eksploatować dalej te motywy, można mu stawiać dobre horoskopy."

TRZY RECENZJE O TRZECH POLSKICH KSIĄŻKACH

W „Die Andere Zeitung" (Hamburg) z 15 października br. znajdują się aż trzy recenzje z książek polskich autorów, przełożonych na język niemiecki. Czytamy więc o zbiorze opowiadań Józefa Hena „Der Boxer und der Tod" (Bokser i śmierć), o zbiorze opowiadań Bruno Schulza" „Der Vater geht unter die Feuerwehrmänner" (Ojciec zaciąga się do straży ogniowej) oraz o książce Józefa Makowskiego „Wehrmachtsgefolge", która w języku polskim ukazała się również pod tym samym tytułem. Recenzenci wszystkie trzy pozycje uważają za udane i potrzebne, jednak najwyższą notę uzyskują opowiadania Schulza, co nas zresztą wcale nie dziwi. Zasługują na to.

ZMARŁ ADOLF MILICH

W 81 roku swego życia zmarł w Paryżu, po długotrwałej chorobie, malarz Adolf Milich. Urodzony w Polsce 24 kwietnia 1876 roku, wyemigrował z kraju tuż przed pierwszą wojną światową, ożenił się ze Szwajcarką i przez wiele lat mieszkał w Lugano. Prace swoje, począwszy od r. 1920, wystawiał w Paryżu, a w ostatnich latach w Lugano, Genewie i Bernie. Adolf Milich znany był nie tylko jako malarz, ale również jako tzw. działacz artystyczny.

ŁODZIANIE PO ROSYJSKU

Październikowy numer „Głosu Rosyjskiego" — który jest organem Rosyjskiego Towarzystwa Kulturalnego w Polsce — zamieścił utwory dwóch łódzkich literatów. Znajdujemy tam opowiadanie Jana Koprowskiego pt.: „W marcu" oraz kilka wierszy poety Henryka Hartenberga.

(R.)

POLONICA

Kronika TYGODNIA

PONIEDZIAŁEK, 26 PAŹDZIERNIKA

❖ Poranna prasa przyniosła wiadomość o spotkaniu w rejonie Puszczy Białowieskiej przedstawicieli PZPR i KPZR. Ze strony PZPR brali w nim udział: Wł. Gomułka, J. Cyrankiewicz i Z. Kliszko. Ze strony KPZR Leonid I. Breżniew, Aleksiej N. Kosygin i Jurij W. Andropow.

Jest to pierwsze tej wagi spotkanie po zmianach w kierownictwie KPZR. Prasa światowa zgodnie podkreśla wagę faktu, iż miało ono miejsce właśnie w Polsce.

❖ A tymczasem po tak pełnym wydarzeń ubiegłym tygodniu wychodzą na jaw i anegdotyczne ich okoliczności: O zmianach w kierownictwie KPZR pierwszy kablował z Moskwy na Zachód korespondent London Evening News. Odpowiedziano mu z Londynu: „Kochasiu, nie zawracaj głowy: my tu mamy dosyć roboty z naszymi wyborami" Mimo to, wiadomość z Moskwy ukazała się na pierwszym miejscu, przed lokalnymi sensacjami wyborczymi.

WTOREK, 27 PAŹDZIERNIKA

❖ Klęska powodzi jaka nawiedziła Jugosławię, spowodowała olbrzymie straty. W Zagrzebiu woda zaczyna już z wolna ustępować. 70 tysięcy mieszkańców najbardziej zagrożonych dzielnic zostało ewakuowanych. Najcięższym problemem staje się obecnie walka z epidemiami i likwidacja szkód.

❖ Biuro w Berlinie zachodnim wydało do 25 października 784.000 przepustek na odwiedziny we wschodnim Berlinie.

❖ Warto raz jeszcze przypomnieć przedwyborcze deklaracje polityczne rządzącej dziś w Anglii Partii Pracy.

„Przeciwstawiamy się kategorycznie każdemu rozwiązaniu, które wprost lub pośrednio pozwalałoby Niemcom trzymać palec na atomowym cynglu".

(Obecny premier) Harold Wilson w przemówieniu w Izbie Gmin 31.I.1962 r.

„Pragnę podkreślić, że uważam za oczywiste, iż należy uznać granicę na Odrze i Nysie".

(Obecny minister spraw zagranicznych) Patrick Gordon w wywiadzie z 24 lipca 1963 r.

ŚRODA, 28 PAŹDZIERNIKA

❖ Krwawe wypadki w Sudanie świadczą o tym, że Czarny Kontynent długo jeszcze nie zazna spokoju. Można się domyślać, iż za próbą wprowadzenia pełnej dyktatury wojskowej kryją się inspiracje sił neokolonialnych. Zarazem wypadki raz jeszcze stawiają na porządku dziennym typowy dla Sudanu zadawniony, ostry antagonizm ludności arabskiej, z której głównie pochodzą klasy posiadające — i ludności murzyńskiej.

❖ Dziś, o godzinie 12 czasu moskiewskiego rozpoczęła się regularna, wymiana informacji meteorologicznych między Moskwą i Waszyngtonem. Prasa światowa skłonna jest widzieć w tym fakcie ważny dowód rozwojowych tendencji polityki pokojowego współistnienia.

CZWARTEK, 29 PAŹDZIERNIKA

❖ Integracja zachodniej Europy jest dziś bardziej niż kiedykolwiek kartą bez pokrycia: po „wojnie agrarnej" — wypowiedzianej w ubiegłym tygodniu przez Paryż — przychodzi kolej na inicjatywy angielskie. Premier Wilson ratując zagrożony od dawna budżet, podniósł o 15 proc. cła importowe, co wywołało w stolicach Europy zachodniej, a szczególnie w Bonn ostre protesty. W Paryżu, Rzymie i Bonn mówi się o kolejnych kontrposunięciach.

❖ Bonn złożyło w Paryżu i Londynie utrzymane w ostrym tonie protesty (oczywiście zignorowane) skierowane przeciw podpisanym ostatnio umowom handlowym z ZSRR.

❖ Prasa zachodnioniemiecka ubolewa z powodu częstych wizyt francuskich parlamentarzystów w NRD. Od stycznia 1963 roku oficjalnie odwiedziło ten kraj 130 francuskich posłów i senatorów.

❖ De Gaulle zamierza postawić Amerykanom ultimatywne żądania rewizji Paktu Atlantyckiego. Jeśli żądania Paryża nie zostałyby przyjęte (a chodzi o uznanie faktycznej dominanty Francji nad jej europejskimi partnerami) de Gaulle zamierza doprowadzić do wystąpienia Francji z NATO i to może jeszcze przed 1965 rokiem.

PIĄTEK, 30 PAŹDZIERNIKA

❖ Rozruchy w Boliwii ze strajku górników przekształciły się w rewolucyjną wojnę domową. W krwawych walkach, które objęły niemal cały kraj, przewodzą związki zawodowe, domagając się reform społecznych i przywrócenia swobód demokratycznych. Waszyngton wini za wypadki — oczywiście — lewicę.

❖ Oświadczenie premiera Wilsona, że ogłoszenie niepodległości Rodezji Płd. na zasadzie decyzji białej mniejszości byłoby w Londynie uznane za „wyzwanie i akt zdrady" — zapobiega — jak się zdaje — próbom rasistowskiego przewrotu. Mimo to Jan Smith — premier obecnego, tylko „białego" rządu nadal przygotowuje referendum białej ludności, która ma się wypowiedzieć co do przyszłości kraju.

SOBOTA, 31 PAŹDZIERNIKA

❖ Wietnam Południowy przedstawia obraz zupełnego chaosu politycznego. Amerykańska formuła całej władzy w rękach wojskowych — tzw. „silnych ludzi" — zawiodła na całej linii i długi szereg politycznie zbankrutowanych generałów doczekał się kontynuatora w cywilu. Nowy szef rządu, niejaki Tran Van Huon — postać szara i nic nie znacząca — wygłasza wprawdzie demagogiczne przemówienia pełne zapowiedzi reform, w istocie jednak firmuje nadal stary, skompromitowany kierunek polityki. Plasterkiem, który ma uleczyć wszystkie cierpienia ludności jest gromko zapowiadany szeroki udział młodzieży w rządzeniu krajem (ten sam frazes nie schodził kiedyś z ust madame Diem). A więc — nadal nic nowego.

❖ Realizacja budowy brytyjsko-francuskiego samolotu przyszłości Concorde (znamienna nazwa!) natrafia na coraz większe trudności finansowe i techniczne. Wielka Brytania byłaby może i skłonna wycofać się z tej imprezy, ale jej partner — Francja — traktuje sprawę à la de Gaulle, to znaczy — prestiżowo. I oto coraz częściej ochotę do partycypowania w tym żmudnym przedsięwzięciu zgłasza NRF. Nie trudno odgadnąć powód: udział w planie Concorde, byłby jeszcze jednym zamaskowanym sposobem na remilitaryzację przemysłu zachodnioniemieckiego.

NIEDZIELA 1 LISTOPADA

❖ Przed wyborami rokującymi zwycięstwo L. Johnsona, Stany Zjednoczone przedstawiają dla obserwatora europejskiego szczególnie egzotyczny obraz. Jednak w powodzi barwnych i hałaśliwych wydarzeń przedwyborczych, wyraźnie zarysowały się i zjawiska istotne. Nieznaczna tylko radykalizacja programu szefów społecznych partii demokratycznej (Ustawa o Prawach Obywatelskich), zapoczątkowana przez prez. Kennedy'ego, sprawiła, że po raz pierwszy od wielu kadencji wyborca amerykański stanął wobec konieczności podjęcia wyraźnej decyzji politycznej. Mimo ostatecznego zwycięstwa Johnsona przebieg kampanii wyborczej ujawniał wprost zaskakującą niedojrzałość polityczną tego społeczeństwa. Sytuacja czarnego wyborcy — terroryzowanego i dyskryminowanego nie uległa właściwie żadnej poprawie. Przegrana awanturniczego senatora z Arizony nie oznacza ani końca jego kariery politycznej, ani też kresu wpływów prawicy na kształtowanie się aktualnej amerykańskiej polityki wewnętrznej i zagranicznej. W cieniu wyborów niedostrzegalnie rozwija się dalsza rozbudowa amerykańskich planów zbrojeniowych. I tak ostatnio wycofane zostały z uzbrojenia armii i marynarki — jako przestarzałe — rakiety średniego zasięgu, wprowadzone zaledwie w roku 1958.

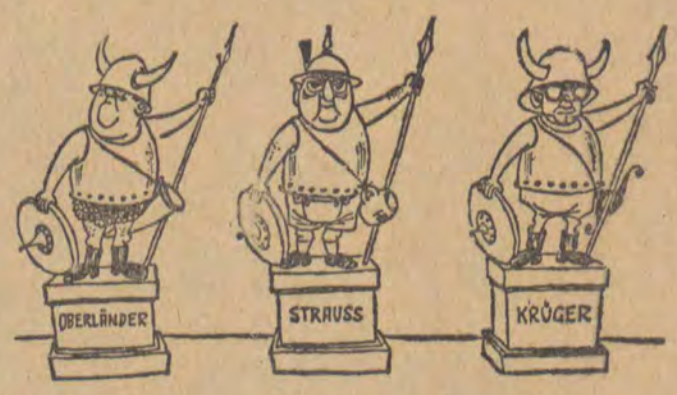

Nowa Walhalla

Szkoła łódzka - dziś i jutro

SPOTKANIA

Na temat problemów łódzkiej szkoły, jej osiągnięć, perspektyw rozwojowych rozmawiają: kierownik Wydziału Nauki, Oświaty i Kultury KŁ PZPR — tow. Jan Pakuła, kurator Okręgu Szkolnego m. Łodzi tow. Mieczysław Woźniakowski, przewodniczący Komisji Oświaty przy KŁ PZPR tow. Wiesław Jaździński, wicekurator tow. Jan Wroński oraz odpowiedzialny za sprawy oświaty pracownik KŁ PZPR tow. Bolesław Kapitan.

TOW. WOŹNIAKOWSKI: Na pierwszym miejscu przy sporządzaniu bilansu osiągnięć łódzkiego 20-lecia postawiłbym sprawę likwidacji analfabetyzmu i stworzenie niezbędnej dla normalnego funkcjonowania systemu oświatowego bazy lokalowo-materialnej.

Dzięki wybudowaniu ponad 100 obiektów szkolnych likwidujemy dwuzmianowość w szkołach średnich i trójzmianowość w podstawowych. Niedaleka jest perspektywa osiągnięcia jednozmianowości w obu tych poziomach szkolnych. Ulega, i ulegać będzie, wydatnemu zmniejszeniu liczba uczniów na jeden oddział. Dziś wskaźnik ten kształtuje się na poziomie 37, lecz w 1975 osiągniemy 33, w 1980 zaś 30.

Okolicznością sprzyjającą naszym zamierzeniom będzie znaczny spadek liczby uczniów w szkołach podstawowych w związku z malejącym wskaźnikiem przyrostu naturalnego.

Szkolnictwo łódzkie uzyskało wydatną poprawę w nasyceniu szkół kadrą pedagogiczną.

Wzrosła sprawność dydaktyczna szkół. W dziale szkolnictwa podstawowego osiągnęliśmy stopień, stawiający nas w czołówce krajowej. Również szkolnictwo zawodowe nie nastręcza pod tym względem większych kłopotów.

Z satysfakcją odnotowujemy wzrost zainteresowania nauczycieli sprawą podnoszenia kwalifikacji zawodowych. Znaczny odsetek naszej kadry uzupełnia swe wykształcenie na S. N., bądź na uczelniach wyższych. Zjawisku temu towarzyszy dążenie do eksperymentowania, do prób pedagogicznych, do wypracowania najskuteczniejszych metod wychowania i nauczania.

Jeżeli dodamy do tego zwiększające się z roku na rok zainteresowanie społeczeństwa sprawami oświaty, wychowania, uznać musimy bilans minionych lat za wybitnie korzystny.

TOW. KAPITAN: Pragnę podnieść jeden z aspektów problemu oświatowego, a mianowicie zmianę składu socjalnego uczącej się młodzieży. Sprawa wydaje się tym istotniejsza, że spotyka się w niektórych środowiskach społecznych opinię utrzymującą, iż młodzież robotnicza i chłopska ma utrudniony dostęp do liceów ogólnokształcących, a przy założeniu, że licea te stanowią bazę rekrutacyjną szkół wyższych, również i do wyższych uczelni.

Rzeczywistość zadaje temu kłam. Łódź bowiem jest obecnie chyba jedynym ośrodkiem oświatowym w Polsce, gdzie cała zdolna i pragnąca uczyć się młodzież ma zapewnioną nie tylko szkołę podstawową, lecz również różne formy kształcenia na poziomie średnim. O ile w roku 1935/6 młodzież pochodzenia robotniczego i chłopskiego stanowiła w skali ogólnokrajowej zaledwie 15,1 proc. ogółu uczniów I klas gimnazjalnych, to dzisiaj, w ostatniej — 11 klasie stanowi ona 42,5 proc. W Łodzi wskaźnik ten jest jeszcze wyższy, dla liceów ogólnokształcących wynosi 46 proc., dla techników 62,1 proc. (Młodzież robotniczo-chłopska wybiera chętniej kierunki techniczne ze względu na żywe w tym środowisku tradycje zawodowe, jak też chęć szybszego usamodzielnienia się, zdobycia określonego zawodu).

Pewien procent absolwentów techników, średnio 20, w bieżącym roku 10, przyjętych zostało na studia politechniczne. Odsetek ten w zestawieniu z odpowiednim procentem absolwentów liceów przyjętych na I rok jest znacznie, gdyż ponad dwukrotnie, niższy. Jest tak dlatego, że absolwenci techników są dużo gorzej przygotowani do studiów wyższych i z reguły „oblewają" egzaminy. Wynika to z faktu, że poziom matematyki i fizyki w technikach jest znacznie niższy niż w liceach ogólnokształcących. Podstawowym bowiem zadaniem techników jest kształcenie średniej kadry technicznej i temu celowi podporządkowane są programy nauczania.

TOW. JAŹDŻYŃSKI: Punktem wyjścia w ocenie dorobku ubiegłych lat 20 winno być określenie punktu startu.

Celowym wydaje się przypomnieć, że już w 1918 r. rzucono w Łodzi słynne hasło: „Dla każdego dziecka miejsce w szkole". Łódź należała do nielicznego grona tych miast, gdzie w niezwykle trudnych warunkach, w pełni i najszybciej zrealizowano prawo młodzieży do kształcenia na poziomie podstawowym. Zastrzeżenie to należałoby wnieść, by nie pominąć wysiłku wielu znanych łódzkich pedagogów lat międzywojennych, znanych działaczy społecznych tego miasta.

Szkolnictwo średnie i, rzecz prosta, wyższe przedstawiało sobą zgoła odmienny wygląd.

W roku 1936-37 szkolnictwo średnie obejmowało zaledwie 4 licea państwowe (w moim rodzinnym mieście, Kielcach — dziesięć razy mniejszym od Łodzi — 11), 1 samorządowe, 27 prywatnych.

A przecież tylko licea państwowe, jako najtańsze, mogły być w pewnej mierze dostępne dla młodzieży robotniczej. Znaczna część szkół pracowała w warunkach nieprzystosowanych do celów oświatowych. Pisała o tym ówczesna prasa łódzka. Np. gimnazjum im. Reymonta przy ul. Piotrkowskiej 147 usytuowane było w bliskim sąsiedztwie obory itp. Elitarna struktura międzywojennego szkolnictwa oddzielała poprzez kryterium zamożności szkołę podstawową od średniej, skazując młodzież robotniczą do poprzestawania w najlepszym przypadku na ostatniej klasie szkoły powszechnej. Obliczano, że spośród całej młodzieży kończącej szkołę powszechną, zaledwie 35—40 proc. przechodziło do szkół średnich, reszta pozostawała na tym podstawowym pułapie.

TOW. WROŃSKI: Jeśli zestawia się stan oświaty przed wojną w Łodzi ze stanem obecnie przez nas osiągniętym należy pamiętać, że obok olbrzymiego skoku ilościowego nastąpiły zasadnicze zmiany w treściach, metodach, celach nauczania, zwłaszcza w pionie szkolnictwa zawodowego. Międzywojenna szkoła zawodowa uzyskiwała swe cele najczęściej w trybie kształcenia przywarsztatowego u rzemieślnika lub w zakładzie produkcyjnym. Po 3—4 latach nauki w charakterze ucznia lub czeladnika przychodził egzamin dyplomowy, dający status kwalifikowanego robotnika.

Właściwy owym czasom układ stosunków społecznych powodował, że oświata zawodowa nie cieszyła się najlepszą opinią. Ukształtowane na tej drodze stereotypy myślenia ciążyły na opinii społecznej, w tym i na wielu pracownikach oświaty również w pierwszych latach po wojnie. Zdarzały się czasami zgoła anegdotyczne historie. Kierownictwa niektórych szkół podstawowych opiniując ubiegającego się o przyjęcie do szkoły średniej ucznia pisały: „Uczeń niesystematyczny, źle się zachowuje, opuszcza lekcje, nadaje się do szkoły zawodowej", lub „podejrzany o zaburzenia psychiczne — nadaje się do szkoły zawodowej".

Dziś poglądy te należą do przeszłości. Odczuwamy raczej pewne trudności naboru młodzieży do szkół ogólnokształcących. I jest to zjawisko o tyle kłopotliwe, że przy braku odpowiedniej ilości kandydatów przyjęci 8-klasiści nie zawsze stanowią element dostatecznie zdolny, rokujący nadzieje na podjęcie, po uzyskaniu świadectwa dojrzałości, studiów wyższych.

Sytuacja absolwenta liceum ogólnokształcącego nie przyjętego na wyższą uczelnię nie należy do najpomyślniejszych. Dyplom dojrzałości niewiele daje, poza satysfakcją. W poszukiwaniu pracy spotyka się z silną konkurencją absolwentów szkół zawodowych, kształcących fachowców we wszystkich niemal możliwych specjalnościach od techn. administracyjnych począwszy, poprzez ekonomiczne, na przemysłowych skończywszy.

Pracodawcy najczęściej nie zadowala odpowiedź ubiegającego się o pracę: ukończyłem szkołę średnią; pyta — jaką? Absolwent szkoły zawodowej znajduje się w podobnych przypadkach w sytuacji uprzywilejowanej. Atut fachowości przemawia na jego korzyść. Postępująca wciąż specjalizacja programów nauczania, w związku z rozwojem szkolnictwa zawodowego, kryje w sobie jednak pewne niebezpieczeństwa zawierające się w nadmiernej rozbudowie działów wąsko-zawodowych kosztem przedmiotów ogólnokształcących. Wydaje się, że istnieje potrzeba położenia większego akcentu na kształceniu humanistycznym. Nie wolno bowiem zapominać, że w procesie pracy jednym z czynników decydujących jest stosunek człowieka do pracy.

TOW. PAKUŁA: W wielu dyskusjach poświęconych modelowi współczesnej szkoły często zapomina się, bądź pomija, funkcje czysto wychowawcze szkoły, jej rolę w rozwijaniu intelektu ucznia, budzeniu zainteresowań. Często na szkolnictwo patrzy się pod kątem efektów ekonomicznych, tzn. przypisuje się szkole funkcje fabryki zobowiązanej do dostarczenia określonych składników środków produkcyjnych zakładowi wytwórczemu. Tak rozumiane zadania oświaty są niesłychanym uproszczeniem. Dla społeczeństwa nie jest bez znaczenia (szczególnie wobec wyżu demograficznego i wobec trudności zapewnienia pełnej opieki ze strony rodziców) jaka liczba młodzieży w wieku lat 15—17 objęta zostanie zorganizowanym systemem wychowania. Z tej perspektywy patrząc nie zawsze istotną staje się sprawa stosunku liczby uczniów w szkołach zawodowych do ogólnokształcących. Nie znaczy to oczywiście, że zjawiska wspomnianego nie należy kontrolować, sprawdzać. Niedostatecznie regulowane przysporzyć nam może wielu trosk.

Istniała swego czasu tendencja nadmiernego, w stosunku do potrzeb miasta, wzrostu liczby uczniów szkół ogólnokształcących.

W tym kierunku cisnęła siła tradycji, utrzymująca, iż ten właśnie typ szkoły jest właściwą formą kształcenia średniego. Do rozwoju liceów skłaniały także względy ekonomiczne. Wybudowanie średniej szkoły zawodowej kosztuje 30 mln zł, natomiast ogólnokształcącej 7—8 mln. Koszty kształcenia ucznia w szkole zawodowej, bądź technikum są 2 razy wyższe niż w liceum ogólnym. Nauka w tym ostatnim trwa przy tym o rok krócej. W sumie wskaźnik liczby uczniów w szkołach licealnych i zawodowych nie jest prawidłowy.

W następnej 5-latce przewidujemy ograniczenie naboru do szkół ogólnokształcących. Intencją naszą jest osiągnięcie ok. r. 1975 wskaźnika rzędu 1:2,5 na korzyść szkół zawodowych.

Kilka słów o wyższych uczelniach. Ilość miejsc jest tu w zasadzie stała i nie przewiduje się jakiegoś nagłego ich wzrostu. Nawet przewidywane powiększenie liczby miejsc na kierunkach technicznych nie rozwiąże dylematu, gdyż równolegle nastąpi spadek ilości miejsc na niektórych kierunkach humanistycznych. A pamiętajmy, że stosunek miejsc na wyższych uczelniach do ilości kandydatów kształtuje się u nas na poziomie dwóch z niewielkim ułamkiem, podczas gdy w wielu krajach spotykamy wielkości rzędu 4, 5, 6, a nawet 10.

Maturzyści, którzy nie zdołają zakwalifikować się na I rok studiów wyższych mogą z powodzeniem po b. krótkim przyuczeniu podjąć pracę w zakładach przemysłowych, reprezentując przy tym walory intelektualne, wcale dla naszych stosunków produkcyjnych i międzyludzkich nie bez znaczenia.

Z miejscami pracy dla tej młodzieży kłopotów mieć nie będziemy. Mogą natomiast wystąpić pewne perturbacje z zatrudnieniem absolwentów niektórych techników, np. odzieżowego. W tych specjalnościach, w związku z wadliwym planowaniem w latach ubiegłych odczuć możemy pewną „nadprodukcję" fachowców. Okoliczność powyższa zmusza nas do odpowiedniego profilowania szkolnictwa w ogóle, zawodowego w szczególności. Fachowca wykształconego jednokierunkowo trudniej jest przekwalifikować, niż przyuczyć np. absolwenta szkoły ogólnej.

TOW. WROŃSKI: Traktując potrzebę zmiany proporcji szkolnictwa, jako zadanie ważne i niesłychanie pilne, realizować je musimy w sposób rozważny, przemyślany, w oparciu o dokładny bilans potrzeb. W tej chwili postulujemy rozwój szkół mechanicznych, energetycznych i ekonomicznych, gdyż w tych dziedzinach istnieje zapotrzebowanie na kwalifikowaną siłę roboczą. Rozwijać będziemy szereg specjalności nowych, jak radiotechnika, telewizja itp., uważanych przez młodzież za atrakcyjne i dających możliwości natychmiastowego zatrudnienia w produkcji i usługach.

Warunkiem jednak powodzenia tych przedsięwzięć jest poprawa bazy materialnej szkół zawodowych.

Szkolnictwo to boryka się z poważnymi trudnościami lokalowymi. Na 33 budynki szkolne zaledwie 15 nowych spełnia dostatecznie wymogi procesu nauczania. Część szkół odczuwa brak zadowalającego wyposażenia w laboratoria i gabinety naukowe. Zajęcia praktyczne są utrudnione. W roku 1963 jedno stanowisko warsztatowe przypadało w Łodzi na 2,7 ucznia, przy normatywie 1,5.

Uwzględniając nasze zamierzenia i potrzeby oświatowe, Kuratorium przygotowało obszerny plan rozwoju szkolnictwa łódzkiego na okres lat do 1980. Plan ten znajduje się jeszcze w fazie dyskusji. Po zatwierdzeniu go przez władze miejskie stanie się on obowiązującą dyrektywą, której realizacja przyniesie dalsze, korzystne zmiany w oświacie łódzkiej.

TOW. WOŹNIAKOWSKI: Dotykamy bardzo żywego problemu — perspektyw rozwojowych szkoły średniej. Zgodni chyba jesteśmy wszyscy w swoim sprzeciwie wobec wąskiego profilowania szkół zawodowych. Programy tych szkół winny być tak ułożone, aby uczeń kończący np. technikum mechaniczne mógł również podjąć pracę w swojej specjalności w różnych — co do swego podstawowego profilu produkcyjnego zakładach wytwórczych, a więc zarówno włókienniczych, odzieżowych, jak i budowlanych.

Z drugiej zaś strony istnieje problem przysposobienia zawodowego w szkołach ogólnokształcących. Szkoły te powinny kształcić ludzi, którym sprawy techniki nie będą obce. Owo nastawienie praktyczne powodowane jest wymogami czysto życiowymi. Absolwent liceum ogólnokształcącego dużo łatwiej będzie mógł podjąć pracę zarobkową, uzyskać kwalifikację warunkowane stanowiskiem pracy.

TOW. KAPITAN: Przepraszam, że przerywam. Problem poruszony przez tow. kuratora jest już ujęty odpowiednią dyrektywą centralną. Wydaje mi się, że jesteśmy w stanie w najbliższym czasie stworzyć w każdej dzielnicy takie eksperymentalne liceum ogólnokształcące, które przysposabiałoby jednocześnie młodzież do zawodu.

TOW. WOŹNIAKOWSKI: Oczywiście. Pragnąłbym nawiązać do tej części wypowiedzi tow. Pakuły, w której mówił o funkcjach wychowawczych szkoły. Opinię jego w pełni podzielam. Szkoła podstawowa — 8-letnia, staje się powszechną, obowiązkową. Średnia szkoła właściwie również. W orbicie państwowego systemu wychowawczego młody człowiek pozostaje lat 8, 12, a nawet dłużej. Zważywszy, że w Łodzi ponad 40 proc. (niedługo ponad 50 proc.) dzieci w wieku przedszkolnym objętych zostaje zorganizowanym systemem wychowania, okaże się, że system oddziaływania państwowych instytucji wychowawczych rozciągnie się na dalsze 3 lata.

Kapitalnym tedy problemem, obok przygotowania zawodowego wychowanka, jest jego przygotowanie do życia w społeczeństwie socjalistycznym, ogromnie zdynamizowanym, które się szybko rozwija, w ustroju, który się przetwarza.

Funkcja wychowawcza szkoły w tym względzie jest tak olbrzymia, jak nigdy odtąd.

TOW. JAŹDŻYŃSKI: W gruncie rzeczy zaczynamy już dyskutować w innych kategoriach, kategoriach humanistycznych. Podzielam w pełni wyrażony tu pogląd, że nie można patrzeć na szkołę, jak na fabrykę produkującą części zamienne dla celów społecznych. Idea szkoły nie jest ideą zastąpienia ludzi odchodzących czy wkraczających na stanowiska pracy w jakimś mechanicznym sensie.

Współczesne dyskusje na temat oświaty wiedzione w prasie nauczycielskiej, w „Życiu Literackim" dotykają właśnie problemu środków, metod działania, z pomocą których uzyskujemy określone postawy życiowe wychowania. Jeśli weźmiemy pod uwagę przedmioty humanistyczne (one przecież najbardziej warunkują postawy, które nazywamy obywatelskimi, związane z socjalistyczną racją stanu) to, niestety, nie odpowiadają one współczesnym celom dydaktyczno-wychowawczym. U podstaw konstrukcji programowych tych dyscyplin legła zasada historyzmu, ciągu od Adama i Ewy do ery atomu i sputników. Taki jest mniej więcej układ w historii, literaturze, wychowaniu obywatelskim. Rozpoczynając naukę literatury od Bogurodzicy tracimy automatycznie wszelkie zainteresowanie literaturą. Historyzm jest pierworodnym grzechem współczesnej pedagogiki. Jeżeli taki właśnie jest program, jeżeli nauczyciel jest, niestety, tylko wykonawcą tego programu i zmienić jak dotąd go nie może, to wysuwa się pytanie, jak on ma w tym obrębie uczyć.

Powinniśmy przyjąć założenie, że szkoła wszystkiego i tak nie nauczy. Powinna ona więc wywołać uczucie głodu poznania, wykształcić narzędzie poznawania i stałą chęć posługiwania się nimi.

Z tą funkcją szkoły ściśle wiąże się kwestia samodzielności. W życiu każdego człowieka jest pewien próg, z którego przekroczeniem wyłania się konieczność określenia własnego stosunku wobec świata. W tym zakresie nie wszystko, rzecz jasna, może być przekazane, a na pewno nie narzucone. Zagadnienie więc sprowadza się do dróg samodzielnego, własnego dojścia do określonego światopoglądu, w naszym wypadku, socjalistycznego. Piękną, ale i odpowiedzialną rolę do spełnienia ma w tym procesie szkoła. Ona właśnie winna kształtować atmosferę pozwalającą na dyskusję, wybór, zajmowanie samodzielnych stanowisk. Młodość to przecież okres w życiu człowieka, kiedy wydaje mu się, że połknął esencję świata, rad by wadzić się o każdy szczegół i jeśli szkoła nie stworzy mu możliwości, w jakimś celowym wychowawczo zakresie, „wyszumienia się", a pozostanie tylko miejscem przekazu, ubijania, nie zaś budzenia potrzeb intelektualnych, wtedy przychodzą rezultaty, od których łapiemy się za głowę.

Ramy takiej szkoły skrojone na model osobowości gotowej do przyjęcia na kolejnej lekcji nowego pakunku do połknięcia, nowej pigułki, nie mieszczą młodego człowieka, takiego z „Nieba w płomieniach", pełnego niepokoju, buntu.

Czy u nas przypadkiem nie stosuje się zasady, że będziesz umiał tyle z Juliusza Słowackiego, ile jest przepisane, będziesz go tylko tak rozumiał jak trzeba rozumieć?

Powiada się, że istota życia dojrzałego polega między innymi na podejmowaniu decyzji, na wyborze. Nasuwa się pytanie, na ile szkoła uczy swego wychowanka podejmowania decyzji, na ile uczeń wybiera między czarnym a białym, słusznym a niesłusznym. Odnoszę wrażenie, że sprawa ta jest ogromnie istotna. Zagadnienie to jest w sposób istotny związane z późniejszymi postawami młodego pokolenia.

TOW. WOŹNIAKOWSKI: Wydaje się, że szkolnictwo, i to nie tylko u nas (podobne zastrzeżenia padają pod jego adresem i w innych krajach), jest w pewnym sensie instytucją nieco statyczną. Z tej racji urasta niepomiernie rola pedagoga, nauczyciela, któremu przypada w udziale obowiązek wypełnienia treściami owego modelu organizacyjnego. Od stopnia więc przygotowania zawodowego nauczyciela, jego inteligencji, zaangażowania, żaru wewnętrznego zależy pomyślność naszych celów wychowawczych.

W swej pierwszej wypowiedzi wyraziłem zadowolenie władz oświatowych z tytułu budzącej się aktywności nauczycielskiej, z ożywienia inicjatyw pedagogicznych, odrabiania zaległości i zaniedbań narosłych w czasach kultu jednostki, dogmatyzmu. Rozwój tego ruchu zależy w dużej mierze od władz, od tego, jakim klimatem otoczą pracę nauczyciela, od uświadomienia przez społeczeństwo faktu, że nauczyciel zapędzony godzinami nadliczbowymi, nie ma czasu na dokształcanie, rozwój, że nie sprosta wymogom dobrego nauczyciela. **Troska o nauczyciela musi być ciągła, żywa, a nie tylko z okazji Dnia Nauczyciela.**

Dyskusję prowadził:
ZBIGNIEW FALIŃSKI

SPOTKANIA NAD NEWĄ

Dalszy ciąg ze str. 1

stoimy przed wejściem do drewnianego domu. Dzwonimy. Ktoś schodzi szybko po schodach, drzwi się otwierają. Naprzeciw nas Olga Konstantynowna Matiuszina. Za nią wysoki, pionowy niemal prostokąt schodów. Zamyka drzwi, szybko prowadzi nas na górę. Tam, wnętrze pełne światła, które płynie nie tylko z lamp, ale jakby ze wszystkich ścian, sprzętów. Stoi teraz przed nami, drobna, niestara kobieta, w czarnej sukni z krótkimi rękawami. Ona także jest źródłem owego światła. Wszelkie wyobrażenia o niej muszą z miejsca ulec rewizji. Oto patrzy na nas pięknymi niebieskimi oczami, pełnymi życia i ciepła. A przecież wiemy, że w czasie oblężenia Leningradu uległa kontuzji — uszkodzony nerw, i szybko przestała widzieć. Pozostała tylko pewna wrażliwość na światłocień. Ale patrząc teraz na nią wcale tego nie odczuwamy. Tym bardziej, że wyraz twarzy, ruchy, całe zachowanie się pełne swobody, jak u widzących. Wita nas niby starych znajomych, prowadzi dalej, w głąb mieszkania. Jakże tu wszędzie czysto, wszystko na swoim miejscu, jak wesoło. Na ścianach obrazy: drzewa, pejzaże, kwiaty, portrety. Gdzieś z boku niespotykana fotografia Lenina. Pokoje rozległe, w dzień na pewno bardzo widne. Wreszcie zatrzymujemy się w największym, z tarasem bez balustrady. Wzrok pada stąd na rozłożyste, patriarchalne dęby, lipy. Rozmowa toczy się swobodnie, bez żadnych wstępów, zahamowań, bezplanowo, ale ciągle na temat:

— Jak Majakowski tu przychodził, zawsze uderzał głową o framugę drzwi. Nigdy nie pamiętał o tym, że trzeba się przychylić. I zaraz biegł do lustra, które stało o tu...

Przypadkowo znalazłem się obok tego histerycznego miejsca. Olga Konstantynowna wskazuje na nie tak precyzyjnie, pewnie, że sugestia absolutna, wierzymy, ba, wiemy na pewno, że w tym miejscu właśnie...

— Przed tym lustrem właśnie Majakowski lubił stroić miny, odgrywać jakieś role, albo po prostu wykrzywiać się, kokietować. Bardzo sobie zawsze chwalił to lustro, czasem porywał jakiś kawał płótna, albo serwetę i odpowiednio do wymyślonej roli drapował je na sobie...

— Kiedyś miało się organizować przedstawienie. Tekst był oczywiście nie napisany, ale kiedy brał w tym udział Włodzimierz Majakowski, Michał Matiuszin i jeszcze parę innych osób, nie było obawy, żeby się coś nie udało. Zebrała się publiczność, wiele dziewcząt, i zaraz powstał popłoch. Ktoś rozpuścił wiadomość, że z widowni będą rzucać jajkami i zdechłymi szczurami. Kto i dlaczego, tego nikt nie umiał wyjaśnić. Wśród pisków, śmieszków i trwożnego oglądania się, przystąpiono do przygotowań. Ale ciągle nikt nie wiedział jak to wszystko będzie. Majakowski, pamiętam, sprzeczał się z Matiuszinym, nawet tupał na niego. Potem, powiedzieli, że ja muszę także grać. Przeraziłam się tego okropnie. Majakowski pocieszał mnie słodkim głosem i uspokajał. Kiedy przyszła moja kolej, reżyser wypchnął mnie na scenę. A kiedy przerażona pokręciłam się na niej i następnie uciekłam, publiczność uważała, że tak wypadało z mojej roli i śmiała się. Śmieli się wszyscy, i wcale nikt nie rzucał zgniłymi jajkami, ani zdechłymi szczurami... A to krzesło, to ja sama obiłam — niespodziewanie przerywa tok Matiuszina podsuwając wolne krzesło z doskonałą tapicerką.

Opowiadanie płynie z jej ust potoczyście, łagodny, ciepły ton głosu działa kojąco, byle drobiazg przeobraża się w interesującą sugestię, w coś, co poza treścią epicką, posiada jedyną w swoim rodzaju atmosferę.

Mieszkanie wciąż doskonale oświetlone, sosnowe deski podłogi lśnią czystością, nigdzie pyłku kurzu, z ogrodu wlewa się aksamitne, pachnące powietrze.

— Och, gdyby nie oni, nie żyłabym na pewno. To oni mnie uratowali, oni pomogli ukończyć nauki. Jakże mi było u nich dobrze, co za atmosfera, zaczarowany świat. Ja takiego nigdy w życiu nie widziałam, nie wyobrażałam sobie, że coś takiego może istnieć. Znalazłam się nagle u źródeł twórczości artystycznej — poetyckiej, malarskiej, muzycznej. Helena Guro była zjawiskiem niezwykłym i Majakowski ogromnie ją cenił. Po śmierci jej uważał, że należy wszystko, ale to wszystko co napisała wydać. Zachorowała na białaczkę. Umarła przed pierwszą wojną światową w Finlandii i Matiuszin tam ją pochował. Na grobie położono jej ukochany kamień, na którym siadywała nad morzem. A przy grobie ustawiono skrzynkę z jej poezjami. Ludzie przychodzili na grób, siadali na ławeczce, wyjmowali książki ze skrzynki i czytali, czytali. Często można było widzieć kogoś zagłębionego w lekturze.

— Matiuszin zrobił też portret Heleny Guro, zaraz go wam pokażę — i Olga Konstantynowna szybkim krokiem skierowała się do jednego z kątów dawnej pracowni malarza. Spomiędzy stosu obrazów bezbłędnie wydobyła ów portret. Jest to pięknie malowane płótno, przedstawiające młodą, subtelną kobietę w bluzce i kapeluszu, postać pełna czarownej atmosfery i uduchowienia. Czuło się od razu, że artysta stanął na wysokości kryteriów jakie narzucał mu model.

Towarzysz nasz, młody poeta rosyjski, nadmienił coś o malarstwie Matiuszina, o szeroko znanych jego sosnach. I już nasza gospodyni wyciąga z kąta obrazy przedstawiające delikatne w kolorycie drzewa, błękitne, rozedrgane przestworza, na których spoczywa kolor pełnych wdzięku sylwetek sosen...

— Później, Matiuszin ożenił się ze mną. Zawsze był bardzo dobry. Namawiał mnie, żebym malowała, uczył. Sam także grał na skrzypcach. Miał wielu uczniów. Nieraz, pamiętam, był taki ścisk, tłok. Poschodzili się uczniowie z instrumentami i grali, grali. Dużo Beethovena, Mozarta. To były piękne, niezapomniane wieczory. Teraz, mieszkam sama jedna, na górze. Na parterze, emerytowany, stary oficer milicji, bardzo miły człowiek. Czuję się tutaj doskonale, znam każdy kąt, mieszkam przeszło pięćdziesiąt lat... Mam sekretarza, który przychodzi mi czytać i nagrywa na magnetofon moje książki. Tak jest lepiej, prawdziwiej. — Matiuszina sięga na półki i pokazuje nam je po kolei. Są tu i przekłady; na język polski została przetłumaczona „Pieśń o życiu", obraz heroicznych dni wojny i blokady Leningradu.

— Matiuszin także komponował. Napisał muzykę do sztuki Kruczonycha — „Zwycięstwo nad słońcem". I zrobił dekoracje do sztuki Majakowskiego — „Majakowski to ja". Umarł w 1934 r. Cóż to był za człowiek... Kiedyś powiedział: „Na pewno mam to we krwi — nienawiść do niewolnictwa". Stąd pragnienie: „Wszystko zrobić własnymi rękami, wszędzie samemu zdążyć". Po Michale Wasiliewiczu (Matiuszinie) pozostało dużo rękopisów futurystów, ale pożyczył je kiedyś ode mnie jakiś profesor i już nie zwrócił. Porozpożyczali tak wiele innych rzeczy.

W głosie Olgi Konstantynowny nie czuć żalu ani wyrzutu. Przeciwnie, wyciąga znowu z jakichś półek książki owych czasów, często białe kruki, i nie bardzo się już o nie troszczy. A tu trzymam w ręce na przykład „Sadok Sudiej" tom 2. — Gdzie pierwszy? — Nie ma, przepadł, ktoś sobie go zabrał. A w tomie ocalałym — manifest podpisany przez Burliuków, Helenę Guro, Majakowskiego, Chlebnikowa, Liwszyca, Kruczonycha. Rysunki — Gonczarowej, Łarionowa, Burliuków, Heleny Guro, oryginalne utwory Liwszyca z r. 1912, Chlebnikowa...

— Ach, Chlebnikow, to tak. Przyjdzie do nas, siądzie w tym pokoju, o tu, w kącie i pisze. Siedzi jak jaki wielki ptak, i pisze, i pisze. Zapytać go o co, nawet nie podniesie głowy tylko pyta: „co?" i dalej pisze. O jedzeniu ani pomyśli. Nie czuje głodu. Niemal na siłę trzeba go sprowadzać do stołu. Siądzie nareszcie do obiadu i zamiast po chleb sięga po zapałki, całkiem nieobecny. Pamiętam go zawsze piszącego. Tylko czasem przyszedł i opowiadał, bardzo ciekawie opowiadał. Był człowiekiem bardzo rozumnym, a jednocześnie zupełne dziecko...

— Przypominam sobie, kiedyś szliśmy na zabawę, maskaradę, wszyscy poprzebierali się za różne postacie, a Chlebnikow za Rzymianina. Na zabawie jakoś długo go nie widać. Poszli szukać, nareszcie znaleźli w parku. Stoi nieporuszony na jakimś głazie — pomnik. Za nic nie chce zejść na ziemię. A to była zima, gołe nogi w sandałach. Wrócili na zabawę, a tymczasem przyszli policjanci i zabrali do cyrkułu. Dopiero na drugi dzień wieczorem udało się Matiuszinowi wykupić go i przywieźć do domu. Nie umiał zupełnie zadbać o siebie. Nigdy nie miał pieniędzy i nie wiedział jak się nimi posługiwać. Raz, kiedy był na wsi i trzeba było, żeby tu przyjechał, Matiuszin posłał mu 10 rubli w złocie na podróż. Czekają, czekają a Chlebnikowa jak nie ma tak nie ma. I cóż się okazało. Jak dostał te pieniądze trzymał je cały czas w dłoni. Poszedł się kąpać do rzeki, prąd podbił mu nogi i dziesięć rubli poszło na dno, przepadło.

— Nie umiałam dobrze pisać na maszynie. Pisałam jednym, dwoma palcami. Ale pisałam i przepisywałam im co było potrzeba. Majakowski, rzucał swój rękopis mówiąc władczo: „Przepisz mi to, póki nie wrócę!" I szedł dalej. A tu niedługo nadchodzi Chlebnikow, staje przy mnie i bełkoce: „Ja tu... mnie...", widząc zaś, że jestem zajęta i nie odpowiadam, kładzie swój rękopis i ucieka. Tak przyniósł kiedyś swoje „Dzieci", ale ja nic z tego nie rozumiałam. Za chwilę przychodzi Majakowski i pyta co to takiego. A ja mówię: „To Chlebnikow. Ale nie wiem, nic z tego nie rozumiem". To on dalej czytać. Od czasu do czasu mruczy: „Zrozumiałe, zrozumiałe". I krzyczy i podziwia, wymachuje ramionami. Cały ten pokój pełen był jego. Bo ci futuryści byli bezgranicznie oddani sztuce, sami wciąż biedni, głodni, niemal bez butów...

— Namawiano mnie nieraz, żebym o nich napisała, ale ja nie rozumiałam ich poezji. Napisałam nowelkę o Helenie Guro. To było coś nieziemskiego — to oddanie, poświęcenie wszystkiego sztuce. I to dawało im szczęście. Jacy byli radośni. Taki Majakowski niby iskra, ciekawy życia, cały nim przepełniony, i pełen przyjaźni. To on powiedział Gorkiemu o Helenie Guro. Ale potem się zmienił, czuło się w nim przygnębienie, jakiś smutek. Kiedy stanął w tym pokoju po raz pierwszy z Lili Brik wcale nie patrzył w lustro...

Siedzieliśmy wszyscy zatopieni w opowieści o tych czasach. Luda pochłaniała każde słówko Olgi Matiuszyny o Chlebnikowie, jej ukochanym poecie, i pisała, i pisała. Poprzez Matiuszinę tak bliską im wszystkim, dawno już zmarłym, poprzez to miejsce, gdzie przepędzili tyle godzin, dni i nocy, nagle i my poczuliśmy się bardzo osobiście związani z nimi.

— Ach, co to były za sceny na ich występach — rugano ich, wymyślano, dysputy były wielkimi bitwami. Majakowski, taki ogromny, krzyczał, ryczał. Kiedyś, idąc na występ, wkładał czarny krawat, więc spytałam go dlaczego czarny? Odpowiedział mi tylko: „Tak trzeba". Doskonale pamiętam ten moment, bo nagle pochylił się nad floksami w wazonie i zobaczyłam jak tkliwie na nie patrzy, jak go wzruszają. To był niezwykle piękny wewnętrznie człowiek. Porywczy, a jednocześnie głęboko dobry, współczujący. Jak on rozumiał moje więzienie, sam przecież siedział. A jaki był troskliwy, kiedy chorowałam. Okrywał mnie zawsze, żebym nie zziębła. Już po śmierci Heleny Guro zostały w domu dwa jej koty. Tej nocy oprócz Majakowskiego spał też i Malewicz. Ale koty wdrapały się na pierś poety, a ten tylko jęknął: „Gdzie ty leziesz, Szura?" Zawsze mawiał: „Poeta pracuje dwadzieścia cztery godziny na dobę, bo chociaż śpi, to i tak umysł jego zatrudniony, wyobraźnia w ruchu".

— Majakowski dawał mi dużo do przepisywania na maszynie, potem kreślił, mazał, i na nowo kazał przepisywać. Niewiele z tego rozumiałam, powoli wystukiwałam, ale to było dla mnie wielkie szczęście przepisywać dla nich wiersze. Byłam też świadkiem przygotowań do spektaklu w teatrze Komisarżewskiej. Pamiętam, Majakowski się denerwował, bo dziewczęta nie były przygotowane na próbie. Szły wtedy dwie sztuki futurystów: Włodzimierza Majakowskiego „Majakowski to ja" i Kruczonycha „Zwycięstwo nad słońcem". Jemu robił dekoracje Kazimierz Malewicz...

— Malewicz...

— Pan Kazimierz. Zawsze zwracał się do mnie mówiąc „panno Olgo". Ach, cóż to był za człowiek, jaki subtelny, jak wszystko rozumiał, aż dziw skąd miał taki nadzwyczajny stosunek do drugiego człowieka, do spraw. Był bardzo silny, a jednocześnie niezwykle delikatny, przyjacielski. I taki zabawny. Przepadał np. za rybą, i to w wielkich ilościach. Kiedyś kupiłam jesiotra, jakieś dwa funty. Jeszcze nie był gotowy, a tu dzwonek. Pan Kazimierz łapie mnie za rękę, żebym zapytała kto to, bo szkoda ryby, gdyby jeszcze ktoś był zaproszony do stołu. Raz znowu jechał pociągiem i miał ze sobą pieczoną kurę. Gdy pociąg ruszył wnet zabrał się do jedzenia i bardzo szybko zjadł całą, wywołując tym podziw wszystkich pasażerów w przedziale. Zapytali go, czy dałby radę zjeść drugą. Odrzekł: z łatwością. Ktoś wyjął z tobołka kurę i dał mu ją. Pan Kazimierz spałaszował ją z apetytem, wywołując śmiech, i jeszcze większy podziw. Postarano się gdzieś, w jakimś innym przedziale, o trzecią, którą zjadł także w całości, bez najmniejszego wysiłku. Został laureatem. Sam nam o tym opowiadał.

— O, o panu Kazimierzu można by opowiadać i opowiadać. Przyszedł raz do nas... „Co pan taki smutny, panie Kazimierzu?" — pytam. — „Chciałbym się ożenić, panno Olgo, smutno tak żyć samemu". „To niech się pan żeni". „Ale gdzie taką znajdę, co by mnie chciała?" „A żeby pan wiedział, mam taką, odpowiednią dla pana". „To proszę, niech pani ją daje". Znałam pewną dziewczynę, cicha, porządna, niegłupia, skończyła medycynę. Poznałam ich, umówili się na całodzienną wycieczkę za miasto. Byłam bardzo ciekawa co z tego wyniknie. Na drugi dzień, przychodzi Malewicz, znów jakiś smutny. „Owszem, ładna, ale nic z tego. Za bardzo chce się znać na sztuce, a ja potrzebuję takiej żony, która by się wcale sztuką nie interesowała". Nie mogłam tego w żaden sposób pojąć. Taki zabawny był ten nasz pan Kazimierz...

Dobiega północ, mija, jest już dobrze po północy. Przed naszymi oczyma przesuwają się sylwetki ludzi młodych, później wielkie nazwiska w sztuce i literaturze światowej. Przywołuje je naszej świadomości ta drobna kobieta, nie siląc się na jakieś upiększanie ich życia, obyczajów, skłonności. Operuje drobnymi, na pozór, faktami. Wszystko jest kameralne, ale autentyczne, szczere. Chwilami nie chce się wierzyć, że siedzimy oto tu, w tym domu, w tym pokoju, gdzie przetaczało się życie nowej sztuki rosyjskiej, sztuki XX wieku.

Zaczynamy się zbierać do odejścia. Zostajemy obdarowani książkami Olgi Matiuszyny. Pytając o imiona, każdemu z nas pisze serdeczną dedykację, i nagle, każe nam się zatrzymać, jeszcze coś pokaże. Ginie w otchłani mieszkania, i, nie pozwalając sobie pomóc, wyciąga jakieś płótno na blejtramie, opakowane w papiery, owiązane sznurkami. Jest już bardzo późno, zmęczenie daje znać o sobie. Ale Olga Konstantynowna zupełnie jest rześka, taka sama, jak nas witała. Sprawnie i pewnie, jak w czasie, gdy pracowała w bibliotekach, porozplątywała sznurki, odjęła papiery. Mówi:

— A oto mój obraz, który namalowałam na drugi dzień, jak przestałam widzieć.

Na płótnie kwiaty w wazonie. Subtelne tło, pełna życia i wdzięku całość. Świeżość barw zadziwiająca.

— Ogromnie kocham te kwiaty. Stały one na biurku, były ostatnie jakie widziałam i zapragnęłam je koniecznie utrwalić. Pożegnać... Malowałam obraz na wyczucie. Sama nie wiem jak. Kiedy ktoś bliski, komu pokazałam go po raz pierwszy, powiedział mi dokładnie każdy położony kolor, byłam wstrząśnięta oddaniem prawdy tego co po raz ostatni oglądałam. Nie umiałam sobie wytłumaczyć w jaki sposób potrafiłam to zrobić. No, i jak to sobie można wytłumaczyć?...

STEFAN FLUKOWSKI

TADEUSZ CHRÓŚCIELEWSKI

Cerkiew Wasyla Błażennego

Nas stworzyły niespożyte moce:
uniesione kolorowe oko,
ogrodnika sen, co przed zaśnięciem
słuchał baśni, aż zakiełkowała.
Nas stworzyła wiara w boga barwy
i w giętkiego boga sprzecznych kształtów,
stworzyciela ładu przez chaos.

Jam jest modrożółtą pomarańczą.
Ja jestem turkusowym ananasem.
A ja zebrą w pasy złote i czarne.
A ja kolbą kukurydzową.
Jestem bańką ze złotego mydła,
w którą darmo grzmocą młoty wieków
oraz rybą w łusce z pawich oczu.

My — stożkowe hełmy ruskich wojów,
a i hełmy z dostojnych bibułek,
jakie noszą dzieci i wariaci.

Myśmy ściany z rzeszotem krużganków.
Jakie ściany? — Białe i hoże,
w buławniki carogrodzko-huculskie,
w kuferkowe-czerwone leluje
i w prymyle z nadbużańskiej łąki.

Myśmy razem — złota barć pojemna,
gdzie dźwięczały trutnie i pszczoły:
prawocary, łżecary, carobóje,
mamelucy, skrzydlaci husarze,
krasnoczapcy konni Budionnego,
archijery i muzeolodzy...

Przede wszystkim jednak jesteśmy —
Błażennego Waśki sus strzelisty
sus nad baszty, wieżowce, sputniki —
my — Błażennyj od ziemi do nieba,
od najskąpszej chwili po wieczność.

A błażennyj to nie znaczy wariat,
błażeństwo znaczy natchnienie —
kwiat zasiany na asfalcie dziejów.

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI

BARDZO DZIWNE Miasto

Z czujnego, wysmakowanego dokładnie półsnu budzi mnie ustanie dość gwałtownej chwiejby i pomrukiwań motoru za kilkoma cienkimi ściankami kabin. Kurtka nie da się włożyć, rękawy całkiem mokre od ulewy, która złapała nas na środku Adriatyku i wdarła się w każdy zakątek małego, motorowego jachtu. W lekkim dezabilu wyciągam się więc po pionowej drabince i od razu widok — aż dech zapiera.

Piąta rano. Niebieskie, nie draśnięte żadną skazą niebo nad niebieską wodą. Do samej wody ba — wgłąb wody schodzą rzędy przepięknych białych budowli, pałace, całe miasto pałaców, skąd ta białość najczystsza i ta niebieskość?

Na pocztówce wygląda to cukierkowato, nazbyt ślicznie i może nieprawdopodobnie. Stoję oto w centrum takiej pocztówki, gruby Chorwat zaczepił już linę o betonowy słup na nabrzeżu, zaraz zejdziemy na te białe płaskie kamienie, białe aż do przesady schody z białą balustradą, na to Riva dei Sette Martyri.

Wybaczcie nadmiar liryzmu. Ręce drżą od pośpiechu i nie chce się wierzyć: to ja tu jestem, w Wenecji, obok Pałacu Dożów? Chodźmy już — wołamy do naszego „kapitana", który nie całkiem usankcjonowany mi przez prawo drogami umożliwił nam wypad z jugosłowiańskiego brzegu do najdziwniejszego miasta pod słońcem.

Jeszcze pusto na ulicach, jeszcze nie zalała ich hucząca fala turystów z całego świata. Zjawi się później, koło dziewiątej, wypełni plac św. Marka i przyległe tunele przejść pieszych, zakorkuje setki wspiętych wysoko mostków, rozgwarzy się zgiełkiem co krok innego języka, papuzim pokrzykiwaniem przewodników, zaśpiewem ulicznych sprzedawców. Tymczasem można spokojnie zadrzeć głowę do góry i patrzeć jak z Campanili sfruwa granatowy obłok gołębi. — A to jest „Porte dei Sospiri", Most Westchnień — podpowiada nasz Chorwat. Dlaczego westchnień? Nie, wcale nie chodzi o zakochanych. Tu po prawej stronie było więzienie — pamiętacie, jak uciekał z niego Casanova? — i przez ten most prowadzono skazańców na dziedziniec dożów, na ścięcie. Zwyczaj nakazywał, że z tego mostku, zawieszonego wysoko nad kanałem, nieszczęśnik miał prawo przez parę minut chłonąć w siebie na wieczność ostatni widok Wenecji. Oczywiście wzdychał przy tym i przez łzy nie widział chyba dalekiej zielonej smugi Lido w głębi zatoki ani Santa Maria della Salute z prawej. Most Westchnień. Było o nim i u Żeromskiego, i u Stendhala, tu na tych placach i uliczkach dworowali ze swych panów sługi Goldoniego i przechadzał się pyszny wenecki kupiec Szekspira.

Pałac Dożów znają wszyscy. Naprawdę jest taki jak na zdjęciach: ciężki masywny blok wsparty na cieniutkich kolumnach podcieni. Postawiony na głowie podstawowy estetyczny kanon: współmierność dźwiganego ciężaru do dźwigającej siły. Nie ma tej współmierności, jest unikalny gmach sprzed sześciuset lat, podmywany przez słone fale, przeglądający się w zatoce, inny od morza, inny zupełnie — od strony Placu.

Są też naprawdę te wielkie cztery konie z brązu na frontonie kościoła św. Marka. Nie wiadomo, jaką sztuką wyniesione w XI wieku (!) na wysokość paru pięter. Zdobyli je wówczas Krzyżowcy i przywlekli tu z ziemi świętej na większą chwałę rodzimego miasta. Stały spokojnie paręset lat. Nie oparły się pysze nowożytnego boga wojny — Napoleona. Po zajęciu Wenecji polecił przenieść weneckie ogiery do Paryża. Zdjęcia koni z wysokiego fryzu dokonali polscy legioniści — tak, to jest zapisane w annałach. Macie więc — Święty Marek a sprawa polska.

Do kościoła tego nie wejdzie żadna pani z odkrytą głową i ramionami. Nie wpuści jej szczupły elegant z czarnymi baczkami, bliźniaczo podobny do tego, co na środku placu pokrzykuje i balansuje z tuzinem gołębi trzepoczących mu się na ramionach i na głowie: tak wygląda punkt sprzedaży detalicznej grochu, pełniący usługi dla ludności (napływowej) i dla (rodzimych) gołębi. Amerykanki i Szwedki pożyczają sobie wzajemnie byle szmatki, które by można położyć na głowce i zadość uczynić miejscowemu obyczajowi. O piątej rano nie ma Amerykanek, wielkie puste pudło kościoła rezonuje naszymi krokami po kamiennych płytach, wyżłobionych milionami stóp, sfalowanych: kiedy morze się rozhula, kościół stoi w wodzie i wpływa się do środka gondolą. Trzeba by mieć dużo, dużo czasu żeby docenić te mocno zatarte freski na ścianach i stropach, te prastare, proste, wzruszające rzeźbienia i malowidła. A przecież ledwie mamy czas zachłysnąć się głębokim wdechem dawności i historii, poczuć na nowo piękną dumę i radość z naszego wspólnego dziedzictwa kultury, tradycji. W takiej chwili zaczyna człowiekowi osobiście zależeć na tym, żeby to trwało jeszcze tysiąc lat, żeby cieszyło samym wspomnieniem i nadzieją ponownego ujrzenia.

Dziwne miasto, w którym nic nie rośnie, bo nie ma gdzie i nic nie porusza się na kołach, bo jak? Uliczki mają dwa—cztery metry szerokości i są tylko przejściami dla pieszych. Można klucząc ich zawiłym labiryntem, zataczając pętelki i zygzaki, dotrzeć suchą nogą do każdego domu śródmieścia; jeśli jednak ma się do niesienia bagaż, albo po prostu — bolą nogi, trzeba posłużyć się gondolą. Do innych dzielnic, położonych głębiej w morze, dostać się już można tylko vaporettem, jedynym publicznym środkiem komunikacji miejskiej — rodzajem wodnego tramwaju. W samym śródmieściu tramwaj ten porusza się jedną tylko „ulicą", główną arterią miasta — Canale Grande.

Poza tym — na plątaninę ciasnych pasaży nakłada się plątanina ciasnych kanałów i kanaliczków, a każde skrzyżowanie tych dwóch sieci to wysoki łuk mostku: tuzin schodków — trzy kroki — tuzin schodków. Schodki muszą być, bo inaczej pod mostkiem nie przepłynęłaby gondola; schodki też sprawiają, że uliczkami nie przejedzie nawet wózek dziecinny i że po półgodzinnym spacerze przez miasto ma się za sobą kilkanaście pięter wspinaczki.

Początkujący — jak my — turysta nie raz wraca zdumiony na to samo miejsce, gubi się, traci orientację. Wśród tysięcy szyldów i napisów na ścianach domów niełatwo znaleźć nazwę ulicy: jest ryta wprost w tynku, gdzie się da — wcale nie na skrzyżowaniu; często zresztą nazwa dotyczy nie ulicy, lecz... parafii, do której dany pasaż należy. Wtedy może się zdarzyć, że po lewej ręce będzie inna niż po prawej. Nie ma mowy o jakichś wyższych czy szerszych punktach, z których można by zaczerpnąć perspektywy. Perspektywa jest tylko wzdłuż Canale Grande, no — i z wybrzeża — na niezmącony lazur zatoki.

Pod każdym prawie mostkiem czekają dwie — trzy czarno lakierowane, ozdobione kwiecistymi zawijasami gondole. Oparty o poręcz przewoźnik w słomkowym kapeluszu i w pasiastej koszulce zachęca półgłosem przechodniów: Gondole, signori, gondole. Pokusa jest wielka, ale trudno jej ulec: gondola nie ma przecież licznika, policzą mi za kurs tysiąc lirów, powiozą za następny róg i powiedzą, że to już. Nie mamy tych lirów za dużo, a jeszcze chciałoby się spróbować i lukrecji w długich cieniutkich laseczkach, miękkich, czarnych jak smoła, pachnących anyżem i przeraźliwie słodkich, i równie słodkich cząstek kokosowego orzecha, skrapianych nieprzerwanie strumykami zimnej wody z malutkich, specjalnych wodotrysków i anyżowych cukierków w kształcie czarnych kryształków, kupowanych — jak większość słodyczy — w składach aptecznych, i wreszcie — mod nych tutaj lodów. Włoskich lodów, myślicie? Wcale nie. Lody noszą nazwę niemieckich i są bardzo niedobre. Bryła zamarzniętej wody, lekko cierpkiej od cytrynowego proszku. Oryginalne włoskie są zresztą też, we wszystkich smakach i kolorach. Brać i wybrać!

Wystawy niezliczonych sklepów — jedna feeria kolorów. Żeby było śmieszniej, kolorowe są także makarony, co zakrawa już na czysty surrealizm. W gwiazdki, spirale, kłęby, kłębki, groszki, pierścionki, świderki, muszelki — ani nazwać tych kształtów i kolorów. Zresztą wystarczy spojrzeć, jak pod nogami przepływa galera z owocami na targ, macie najpyszniejszą dla oczu martwą naturę: żółte, okraszone krwawym rumieńcem, wielkie jak dwie pięści brzoskwinie, fioletowe bakłażany, białe kabaczki, zielone pęki sałaty, czerwona papryka. Towar nie mieści się w sklepach, wychodzi na ulice, ciasne i bez tego. Każdy placyk ma w sobie coś z bazaru: na ocienionych kramach piętrzą się stosy koszul, swetrów, bluzek, można w tym grzebać i kopać, jakże trudno stąd odejść paniom! Jedna z nich przymierza kapelusz z jakiejś kolorowej trawy. Momentalnie wyskakuje zza sterty towaru jego właściciel i manipulując przed twarzą klientki ręcznym lusterkiem, wykrzykuje w zachwycie: que bella signora, que bella! W następnym kapeluszu staje się piu bella, przy trzecim jest już bellissima i nie może nie kupić. Jeszcze kwadrans targów, sprzedawca z półtora tysiąca lirów schodzi na sześćset i opada zmęczony na skrzynkę od pomarańczy. Pani zaś będzie po powrocie z dumą podchwytywać spojrzenia mijających ją rodaczek na Piotrkowskiej.

Największy most na Canale Grande — Ponte di Rialto — to właśnie największe weneckie targowisko. Kramy stoją tu w kilku rzędach, na każdym niemal schodku inna branża, od rzeźnika do jubilera. Ułożone rzędami mątwy wyglądają jak cielęce wątróbki, z których wyrosły liście. W koszach wiją się białe ni to rybki, ni to robaki, popiskują ginące z tęsknoty za wilgocią ślimaki, kraby przeróżne poruszają niemrawo wąsami. Ryba jak patelnia i ryba, która oprócz głowy prawie że nie istnieje. Dżem z kasztanów, kasztanowa galaretka, kasztanowy krem i kasztany pieczone. Gąbki naturalne, wielkie jak kapcie, i gąbki sztuczne w fantastycznych kolorach, nic nie ważące, puszyste i nieprawdziwe. Wina z całego świata, oliwki, banany — i czasem, ginąca wśród tego wszystkiego, mała kupka ziemniaków, wielkich, jasnożółtych, podłużnych jak ogórki. Lirów, nie mamy lirów!

Jest taki sklep — nasz przedsiębiorczy kapitan dał nam adres, pewnie za niewielką prowizją — prowadzony na Rio Terra Maddalena przez Chorwatkę, gdzie można kupić wszystko także za dinary. To się trochę lepiej opłaca niż wymieniać dinary na liry w jednym z licznych banco combio, bo przy takiej wymianie często po prostu prywatni bankierzy oszukają. Są trzy kursy lira — pouczył nas z uśmiechem Chorwat jeszcze na statku: jeden prawdziwy, drugi dla turystów, trzeci dla Amerykanów. Wszystkie trzy zależą ponadto od daty, pory dnia i pogody. Teraz znate — mówi językiem nie wiedzieć jakim, ale zrozumiałym.

Chorwacki sklep w Wenecji wręcza prospekt w języku... polskim. Umieją ludzie handlować. Dobry prospekt, bo z planem miasta na odwrocie. „Plaszcze Niepszemakalne. Podpinka i bez Podpinki, Sztywne Halki, Sfetry wełniane Męskie i Damskie, Parasoli, Komplety Bieklizny Damskiej, Pamikati". Jeśli ktoś z naszej grupki marzył o płaszczu z włoskiego ortalionu i miał dinary — to kupił taki płaszcz właśnie tu. Sami Włosi już w takich płaszczach nie chodzą, najwyżej traktują je jako doraźną ochronę przed deszczem. Zmieniła się moda, a zresztą Włochów poza sprzedawcami i kelnerami w Wenecji nie widać.

Niestety, dzień jest taki krótki, nawet jeśli trwa od wczesnego świtu aż niemal do północy. Nie weszliśmy do żadnego muzeum, nie popłynęliśmy vaporettem na Lido, gdzie jest piękny zadrzewiony bulwar, wille milionerów, dziesiątki bajkowych lokali ze streap-teasami, plaże i kąpieliska. Taka tylko niepoważna wizyta w dziwnym mieście. Trzeba by o nim bardziej intelektualnie i z erudycją, trzeba by odmienić przez przypadki parę prominentnych nazwisk z quattrocenta i innych cent, rzucić garść uwag o jednym i drugim fresku. Krótko mówiąc — trzeba by tu przyjechać jako stypendysta, a nie pół legalny, zachłanny wędrowiec, wiecz nie liczący te swoje grosze i minuty. A już elegancki włoski policjant liczy nas z uśmiechem i żegna. Polska bravo — mówi — ja znam, była żona Polka, proszę pana, dziękuję, psiakrew.

— Żona?

— No, nie ślub, ale żona. Dwa lata! — pokazuje palcami.

Po kapitulacji Włoch wzięli go Niemcy do niewoli. Gdy skończyła się wojna — jeździł z Polką po całej Europie, aż zgubiła mu się gdzieś między Paryżem a Rotterdamem. — Do widzenia, proszę pana, sto lat...

Porykuje obok nas jakiś ogromny biały statek — podnosi kotwicę. Gdy włączył śrubę — nasza łupina szamocze się i staje dęba na obudzonej z nagła fali. Tysiące świateł odbija się w lustrach zatoki i kanałów. Setki spasionych kotów, o które potykaliśmy się przez cały dzień na zalanych słońcem uliczkach, krążą teraz wzdłuż murów i znikają w czeluściach wilgotnych zagrzybionych sieni. Mają tam co robić — Wenecja jest ponoć podgryzana żywcem przez niezwalczoną armię szczurów. Każda klatka schodowa, zamiast — jak u nas — do piwnic, prowadzi w dół do wody. Do wody wrzuca się śmieci, wylewa brudy, gość restauracyjny prosto od stolika rzuca kostki z kurczęcia i głąby z sałaty. Mimo to nie ma przykrych zapachów. Morze reguluje tę sprawę przypływem i odpływem. Podobno. W każdym razie Wenecja jest czysta. Słowo daję. Piękne, białe, dziwne miasto.

Zmęczony na trupa rzucam się na kojc w swej kabince. Rano, za siedem godzin, będziemy z powrotem w Jugosławii.

Od rana do zmierzchu

WASILIJ AKSJONOW

Czasami ogarnia mnie zniechęcenie. Czasami czuję wstręt do ulubionych królików myszy, a nawet przestaję lubić małpkę Stellę. Wtedy nie znoszę widoku moich superfiltrów i ultranowoczesnych termostatów.

Mam wówczas ochotę trzasnąć pięścią w stół, wyjść z laboratorium pogwizdując: „Lecę, ehej!", otworzyć drzwi do gabinetu szefa, krzyknąć: „Good bye, grubasku!", potem zbiec na dół do oddziału kadr, trzasnąć pięścią w stół, wziąć swoją książeczkę służbową i odejść.

Inni ludzie uprawiają żeglarstwo, urządzają podwodne polowania, robią filmy, prowadzą samoloty i grają na saksofonach. Wielu chłopaków w moim wieku zajmuje się wspaniałymi rzeczami, a ja... A ja bez przerwy sterczę przy królikach, myszach, małpce Stelli, niektóre zabijam, drżę o życie innych, robię nacięcia, zapisuję wyniki badań.

Taki Stiopka Czerkasow, którego wyrzucili jeszcze z czwartego roku bo się nie uczył, teraz gra w reprezentacyjnej drużynie piłkarskiej. Zwiedził cały Związek Radziecki, był w Anglii i we Włoszech. Ubrany jest jak dandys.

W porządku, wszystko jest jasne. „Przed nami stoi najszlachetniejsze zadanie, które musimy wykonać. Ludzkość czeka, przyjaciele!" Tak mawia szef na zebraniach pracowników naukowych instytutu.

To prawda, ludzkość czegoś oczekuje od naszego szefa. Ale chyba nie ode mnie. Ja się zajmuję myszami i co tydzień odnoszę wyniki nawet nie samemu szefowi, a jednemu z jego zastępców. Wprawdzie już mi obiecali, że w przyszłym miesiącu otrzymam temat dysertacji, ale co z tego. „Obserwacje pewnych zmian pewnej substancji w pewnych warunkach". Zwykła uczciwa kompilacja, wykaz przewertowanej literatury, jakieś nędzne doświadczenie. Czy ta cała moja praca pomoże przesunąć wóz choćby o jeden mikron?

Mnie się jednak wydaje, że ten wóz ruszy z miejsca, jeżeli się do tego weźmie jakiś geniusz. Bardzo możliwe, że on już gdzieś jest, spokojny, skromny, a może się jeszcze nie urodził.

Tak, nie jestem geniuszem. I wcale na geniusza nie wyglądam. To będzie chyba mózgowiec, coś w rodzaju Marsjanina: człowiek o dużej głowie i wątłym ciele. A ja nie. Jestem na to za normalny.

— Jurek, telefon! — krzyczą z korytarza.

Cieszę się, że mnie wołają do telefonu.

— Jurek, to ty? — słyszę w słuchawce podniecony kobiecy głos.

— Lena? — dziwię się.

Lena w mojej świadomości zawsze kojarzy mi się z wieczorem, z odświętnie ubranym tłumem koło metra, z neonowymi reklamami, z hałaśliwym akordem jazzu. O takiej porze jak teraz nigdy o niej nie myślę.

— Jurek, jesteś mi bardzo potrzebny. Muszę się z tobą zobaczyć.

Spostrzegam, że rozmawiam z nią przez telefon wewnętrzny.

— Jesteś u nas na dole?

— Tak. Zejdź szybko.

— Kobiety! Ilu uczonych zginęło przez was! — mówię.

— Przestań! Zejdź szybciej!

Powinna była dodać „uczony cymbale", albo coś w tym rodzaju, ale nic nie powiedziała.

Szybko zbiegam po schodach i spotykam Lenę.

— Skąd przybywasz, śliczna dziewczyno? — krzyczę.

I nagle milknie cała moja radość. Zrozumiałem, że coś się stało. Nie lubię, kiedy życie odsłania swoją tragiczną twarz. Człowiek żyje, śmieje się, kłóci się, a tu — nie wiadomo skąd — zwala się na niego jakieś nieszczęście.

— Co ci jest, Lenka?

— Jurek, jesteś mi potrzebny w tej chwili jako lekarz.

— Nie jestem lekarzem, jestem młodszym pracownikiem naukowym. Ale nie o to chodzi. Co się stało, powiedz, szybko!

— Trzy dni temu ojciec wrócił z pracy o trzy godziny wcześniej...

— Zachorował?

— I tak, i nie.

— Więc co?

— Był na badaniu lekarskim i w czasie prześwietlenia stwierdzono plamy na płucach. Przypuszczają, że to gruźlica.

— A to ci dopiero!

— On nigdy na nic się nie skarżył... nigdy — mówi Lena i zaczyna płakać.

— No, przestań, to nic poważnego. Nie ma się czego bać. W tej chwili gruźlica jest całkowicie uleczalna.

— Naprawdę?

— Oczywiście. Żeby to tylko była gruźlica...

— Myślisz, że coś poważniejszego?

— Wiesz... Ojciec czuje się dobrze?

— A jeżeli to nie jest gruźlica, Jurek...

— No, są różne choroby.

— Myślisz, że to właśnie to?

— Wykluczone — wyjmuję papierosa, zapalam i powtarzam z powagą w głosie: — Wykluczone.

A Lena zagląda mi w oczy tak, jak to bywa w kinie:

— Jurek, czy ja mam prawo prosić cię o pomoc?

— Co za dziwne pytanie. A kto, jeżeli nie ty?

— Pomóż znaleźć dla ojca miejsce w jakiejś dobrej klinice. Chyba masz znajomych.

— Spróbuję. Zaczekaj chwilę.

Dzwonię do instytutu przeciwgruźliczego. Tam pracuje mój kolega.

— A, to ty, stary — mówi Borys. — Jak żyjesz?

— Świetnie. Czy domyślasz się po co mi jesteś potrzebny?

— Niestety, ja też nie mam pieniędzy — śmieje się Borys.

— O, Boże — wzdycham — jak strasznie tępieją ludzie po pierwszym roku aspirantury.

Opowiadam mu o wszystkim. A Borys od razu krzyczy, żebym niezwłocznie wiózł „staruszka" do nich, ponieważ teraz będzie przyjmował pacjentów sam Mietielicyn.

— Zaczekaj, Lena — mówię i biegnę na górę. Proszę szefa o zwolnienie przedstawiając mu jednocześnie powód. W moim opowiadaniu Lena figuruje jako kuzynka.

— To ta dziewczyna, która przychodziła do nas na bal? — niespodziewanie pyta „grubasek".

— Tak — zdradzam się w zupełnie głupi sposób.

— Kuzynka! Wiemy, wiemy. Ten stary kawał ciągle się powtarza. No, dobrze... Może napisać kilka słów do Mietielicyna?

Zbiegam na dół, chwytam Lenę za rękę, pędzimy przez hall i wybiegamy na ulicę.

Zaczynam rozróżniać domy na ulicy, którą idziemy, widzę przed sobą skwer i domyślam się, że to właśnie tam ciągnie mnie Lena. Na ławce z brzegu siedzi wspaniały starzec i czyta „Ogoniok". Gładko ogolony, szczupły i silny przypomina mi starego sportowca, trenera od gry w tenisa, mistrza Sankt Petersburga w jeździe szybkiej na lodzie, albo byłego lotnika. Od razu go poznaję. Byłem u Leny, kiedy jej rodzice wyjechali na wczasy, i wtedy jednym okiem rzuciłem na portret rodzinny wiszący na ścianie.

— Jurku, to jest mój ojciec.

— Od razu was poznałem.

— W jaki sposób? — dziwi się starzec.

— Widziałem portret.

Lena delikatnie puka mnie w plecy, ale ja z uporem zaczynam wyjaśniać:

— Zdaje się, że w pokoju stołowym wisi ten duży portret rodzinny.

— Tak, w stołowym — mówi i patrzy na Lenę.

— Tatusiu, Jurek obiecał, że nam pomoże. Zaraz pojedziemy na badanie do profesora Mietielicyna.

— Proszę jej wyjaśnić, że ten popłoch jest zupełnie niepotrzebny — zwraca się do mnie ojciec Leny. — Przecież gruźlica teraz jest całkowicie uleczalna. Prawda?

— Oczywiście. Kilka miesięcy leczenia — i po wszystkim. Mówiłem jej o tym.

Odnoszę wrażenie, że Lena już się trochę uspokoiła. Nawet się uśmiecha i szepcze:

— Czyś ty oszalał! On o niczym nie wie. To o mojej wizycie w ich mieszkaniu. I Lena znów zaczyna się denerwować. A staruszek nic. Siedzi zupełnie spokojny.

Przez korytarz idzie profesor Mietielicyn. Kosmyk siwych włosów opada mu na czoło. W ręku trzyma zapalonego papierosa. Jest to przywilej profesorów — chodzenie z papierosem na terenie zakładu leczniczego. Profesor jest szczupły i wysoki jak ojciec Leny. Myślę, że tworzyliby zupełnie dobraną parę na korcie tenisowym.

Tuż za profesorem, jak zwykle — jego świta. Spostrzegam Borysa. Zostawiam Lenę z ojcem na kanapie, podchodzę do niego i wyciągam rękę w powitalnym geście.

— Skąd ty masz takie dziewczyny? — pyta spoglądając mi przez ramię. — Aż zazdrość bierze. No, dobrze. Czy stary już ma zdjęcia i analizy? W porządku.

Przynosi mi fartuch i obaj wchodzimy do dużego gabinetu, gdzie przy stole obok negatoskopu siedzi Mietielicyn w otoczeniu dwudziestu lekarzy. Po kolei czytają historię choroby i kładą zdjęcia na negatoskopie. Mietielicyn pali, kiwa głową, ogląda zdjęcia. Czasami krótko rzuca diagnozę albo proponuje kolegom „podyskutować w ogóle".

Przychodzi nasza kolej. Borys mówi profesorowi o ojcu Leny, pokazuje analizy i zdjęcia.

Mietielicyn długo milczy, bardzo uważnie ogląda zdjęcie i my też patrzymy na wyraźną, okrągłą, wielkości pięstki niemowlęcia plamę znajdującą się na prawym płucu.

— No, tak... — mówi profesor, zdejmuje okulary i widzę, że ma bardzo zmęczoną twarz.

— Antoni Piotrowiczu, co to jest? — pyta Borys i rzuca na mnie przerażone spojrzenie.

— Oczywiście, rak.

Jestem oszołomiony. Kiedy Lena powiedziała mi o chorobie ojca, ja też o tym pomyślałem, ale potem zupełnie poważnie powiedziałem „wykluczone" i sam w to uwierzyłem. Sądziłem, że to straszne podejrzenie nasunęło mi się na skutek mojej pracy i potem nawet śmiałem się z siebie.

Profesor długo opowiada zebranym o rentgenologicznej diagnozie raka, o tym jaki jest pogląd na tę sprawę w Ameryce. Mówi, że naturalnie, konieczne jest dodatkowe badanie, żeby diagnoza była bezsporna, i że chorego weźmie do siebie na oddział diagnostyczny i, tak pewnie, zastosuje system rentgenoterapii — i wszystko to wypowiada, jak zwykle, bardzo spokojnie.

Ale ja już widziałem jego twarz, kiedy razem z okularami spadła z niego ta codzienna maska rozjemcy. Zrozumiałem, że on jest już zmęczony, i że jest mu bardzo ciężko skazywać.

— Chodźmy do gabinetu rentgenowskiego. Chcę zobaczyć chorego na ekranie.

Tłum lekarzy z hałasem wstaje z krzeseł. Pierwszy wybiegam na korytarz. Coś się tu zmieniło. Ach, to chyba twarze chorych, które teraz są wpatrzone we mnie.

A ojciec Leny spokojnie czyta ilustrowany tygodnik „Ogoniok". Sterczy jego chude kolano obciągnięte w szarą tkaninę i kołysze się elegancki czarny but.

Lena rozmawia z jakąś kobietą.

Wszystko to wydaje mi się bardzo dziwne.

Podchodzę i słyszę głos Leny.

— I jesteście zupełnie zdrowi? — pyta kobietę.

— Tak, zupełnie.

— Profesor chce was zbadać — mówię.

Staruszek podaje Lenie tygodnik i wstaje.

Znowu patrzymy na tę straszną plamę, która teraz widnieje na niebieskawym ekranie. Porusza się i nie jest taka okrągła jak na zdjęciu. Profesor rękami w gumowych grubych rękawiczkach przesuwa za ekranem ojca Leny.

— Neo — mówi — tu nie ma żadnych wątpliwości. Neo...

Zapala się światło. Profesor wstaje i kładzie rękę na ramieniu ojca Leny. Jak bardzo są do siebie podobni. Wspaniała para tenisistów — dwóch szczupłych wysokich starców.

— No, przyjacielu, zabieram was do siebie na oddział diagnostyczny.

— Czy diagnoza nie jest jeszcze jasna? — pyta ojciec.

— Niezupełnie.

— Bardzo dziękuję.

Profesor a za nim wszyscy lekarze wychodzą z gabinetu rentgenowskiego. Zostaje Borys i ja. Ojciec ubiera się.

— Udało się — przerywam milczenie — sam Mietielicyn będzie was leczył.

— Przestańcie — mówi starzec ponurym głosem. — Myślicie, że ja nie wiem co to znaczy neo? To — nowotwór.

— No to co — gadam jak dureń — co z tego? Bywają również nowotwory niezłośliwe.

— Przestańcie — powtarza starzec. Zapina guzik przy kołnierzyku i podciąga krawat. — Mam do was jedną prośbę — porozmawiajcie z Leną. Nie tak jak teraz. Dobrze?

— Tak, tak — obiecuję i jest mi wstyd, bo nawet nie znam jego imienia.

Biorę kartkę, którą zostawił Mietielicyn i wychodzimy na korytarz.

Lena spaceruje z tą samą kobietą, z którą rozmawiała. Zupełnie się uspokoiła. Uśmiecha się do nas.

Widzę dziewczynę, która jeszcze nic nie wie, dziewczynę — teraz to sobie uświadamiam — bardzo mi bliską.

— Dziękuję ci, stary — żegnam się z Borysem.

Lena ściska kobiecie rękę i schodzimy po schodach.

— Lenoczka, Mietielicyn bierze mnie na swój oddział. Mam szczęście.

— Cudownie! — cieszy się Lena. — Jurku, jesteś wspaniały!

Tak, jestem wspaniały, wszystko dobre co się dobrze kończy — widocznie w ten sposób myśli Lena.

Wyjmuję papierosy. Teraz będę palił jednym tchem.

— Proszę mi dać papierosa — szepcze mi do ucha starzec.

Dyskretnie podaję mu paczkę.

Na ulicy w dalszym ciągu słońce i wiatr. Na rogu sprzedają lody. Ludzie tłoczą się przy automatach z wodą sodową. Samochód ciężarowy z przyczepą wiezie betonowe płyty. Milicjant w niebieskiej koszuli przebiega przez ulicę. Idą turyści z olbrzymimi plecakami. Na straganach stosy truskawek. Ciemnoczerwone góry truskawek. Kałuże czerwonego soku. Czarne palce sprzedających. Afisz anonsujący music-hall. Przechodzi młodzieniec w niesamowitej koszuli. Dzyń, dzyń — spadają monety. Ktoś się całuje. Otwarte śmiejące się usta za szybą budki telefonicznej.

— Ja teraz jadę do fabryki. Mam jeszcze kilka ważnych spraw. A ty jedź do domu i powiedz mamie, niech przygotuje mi wszystko do szpitala.

— Dobrze, tatusiu.

Ojciec nadstawia jej policzek i Lena tuli się do niego. Nie chce zabrudzić go szminką. Przez chwilę widzę obok siebie dwoje oczu — Leny i ojca — i dziwię się w jaki sposób dwoje zupełnie różnych oczu może być tak blisko obok siebie.

Starzec wyciąga do mnie rękę.

— Cieszę się, że was poznałem — mówi.

Milczę i patrzę na nasze ręce, na jego palce z pożółkłymi płaskimi paznokciami ściskającymi moją dłoń.

Starzec odchodzi, a ja długo nie mogę oderwać wzroku od jego eleganckiej postaci, powoli znikającej w tłumie.

— Podobał ci się?

— Bardzo.

— Wiesz, Jurku, rozmawiałam z tą kobietą w korytarzu. Ona jest nauczycielką, a kiedy zachorowała musiała przestać pracować. Teraz jest już zupełnie zdrowa! I znów może uczyć. Czekała na jakieś zaświadczenie. To wspaniałe, prawda?

— Przecież ci mówiłem — mruczę.

— Co ci jest, uczony mężu?

— Lena! — biorę ją za rękę. — Zawsze będę o tobie myślał. A jeżeli nie będę o tobie myślał, to i tak będę o tobie myślał. Chcę, żebyś o tym wiedziała. Zawsze i wszędzie.

— Co ci jest?

Przyciągam ją do siebie i w tłumie sprzedawców, przechodniów i turystów (wszyscy mogą poświadczyć) całuję ją.

Wsadzam Lenę do taksówki i pędzę do metro, zbiegam na dół, wskakuję do wagonu rozciągając zamykające się drzwi, siadam, potem wstaję, przechodzę na sam koniec wagonu, zaglądam przez ramię człowiekowi czytającemu gazetę, czytam nagłówek na pierwszej stronie, a potem (kiedy on odwraca głowę) coś o piłce nożnej, wysiadam na mojej stacji, wbiegam na górę, kupuję lody („Leningradzkie", których nie znoszę), pędzę na plac i dopiero kiedy widzę szerokie okna i wypukły fronton instytutu — zwalniam.

Na korytarzu patrzą na mnie ze zdziwieniem. Wchodzę po schodach na górę i dopiero ostry zapach formaliny przywołuje mnie do porządku.

Poprawiam krawat, włosy, wrzucam do kosza lepiący się papier po lodach i wchodzę do laboratorium. Anna Leonowna już zdejmuje fartuch.

— Jeszcze tutaj? Już wszyscy wychodzą.

— Chcę trochę posiedzieć.

— Myśli?

— Tak, myśli.

Biorę z półki periodyk i zaczynam czytać artykuł naszego szefa o badaniach nad rakiem. Jest to polemika z pewnym naukowcem zagranicznym.

Będę siedział tutaj aż do zmierzchu.

Muszę się przyzwyczaić. Teraz częściej będę tu zostawał.

Mija dziesięć minut, dwadzieścia. Powoli zaczynam rozumieć sens artykułu.

Przełożył: ROMAN GORZELSKI

WŁADYSŁAW RYMKIEWICZ

KLĘSKA POD WARNĄ

10 XI 1444 r. — 10 XI 1964 r.

Sezon turystyczny na bułgarskim wybrzeżu Morza Czarnego zaczyna się z początkiem czerwca i trwa do końca października. W bezdeszczowych na ogół pięciu miesiącach spalona słońcem ziemia czarnomorska wysycha, brązowieje i pęka, a mimo to winne krzewy plantacji na stokach i rozległych płaszczyznach uginają się pod ciężarem soczystych winogron. Bułgarski październik jest cieplejszy od polskiego września i chyba nawet 10 listopada, w dniu bitwy pod Warną było jeszcze słonecznie i ciepło.

Do rytuału programowego, przestrzeganego skrupulatnie przez Biuro Podróży „Bałkanturist" należą organizowane dla turystów polskich wycieczki do Mauzoleum i Muzeum Warneńczyka, położonego na dawnych polach bitewnych Warny, gdzie w 1444 roku poległ młody dwudziestoletni król polski Władysław III nazwany po klęsce Warneńczykiem.

Muzeum, mauzoleum i przestronny dziedziniec z białego piaskowca przed stawiają się imponująco, natomiast zbiór eksponatów, rycin, obrazów map i piętnastowiecznego oręża jest bardzo skromny, żeby nie powiedzieć — ubogi.

Słucham odgłosów poplątanych kroków na płytach dziedzińca i uświadamiam sobie ogrom minionego czasu, pięćset dwadzieścia lat, które nas dzielą od wielkiej bitwy, jaka się rozegrała w pobliżu. Wielka bitwa! Są fakty historyczne, które jak gdyby ogrzewa i ożywia serdeczna krew narodu nie pozwalając im zblaknąć, i te fakty żyją długo w pamięci i tradycji narodowej, chwila bieżąca nieraz samorzut nie wzbogaca je w aktualną treść i podnosi do znaczenia symbolu, który bywa przekazywany z pokolenia w pokolenie; do takich faktów historycznych należy bez wątpienia — Grunwald, wiecznie żywy. Ale są też fakty historyczne, które płowieją wraz z żółkniejącymi stronicami monografii, gdzie zostały zapisane; nie pomoże wznoszenie mauzoleów dla upamiętnienia bohaterskich czynów ludzi, którzy odznaczyli się męstwem, mądrością, siłą ducha, nie pomoże wznoszenie pomników, nic nie uratuje od zapomnienia faktu historycznego, który nie zapisał się głęboko w pamięci narodu. Do takich faktów zaliczam właśnie bitwę pod Warną rozegraną 10 listopada 1444 roku. Kogo bowiem naprawdę wzrusza dziś lub obchodzi rywalizacja Półksiężyca z Chrystianizmem sprzed 520 lat? Jeżeli jest coś godnego zapamiętania z tego zdarzenia dziejowego, to chyba postać młodego króla polskiego, nad przedwczesną i daremną śmiercią którego warto się zamyśleć. Jeżeli zaś jest coś godnego nauki i ostrzeżenia, to chyba tylko intrygi przedstawiciela Stolicy Apostolskiej, legata papieskiego Juliana Cesariniego. W starciu z chwiejnym umysłem niedoświadczonego choć koronowanego młodzieńca musiała zwyciężyć dyplomatyczna przebiegłość starego wygi papieskiego, sprytnego i zręcznego księcia Kościoła, który doprowadził koalicję polsko-węgierską do katastrofy, a Jagiellończyka na węgierskim tronie — do zguby. Ale czy to dziś porusza tak bardzo wyobraźnię narodową? W każdym razie, z okazji wiekowej rocznicy bitwy pod Warną przypomnijmy sobie kolejność wydarzeń.

W dniu 27 października 1439 roku zmarł w Neszmely władca Węgier król Albrecht II pozostawiając młodą trzydziestoletnią brzemienną wdowę i osierocając dwie córki. W marcu następnego roku poselstwo węgierskie ofiarowało królowi polskiemu Władysławowi III koronę św. Szczepana pod warunkiem poślubienia wdowy po Albrechcie i zapewnienia następstwa tronu pogrobowcowi Albrechta, jego trzeciemu dziecku, które powiła w lutym 1440 roku Elżbieta (tym razem był to syn), w wypadku gdyby Władysław nie doczekał się potomstwa z Elżbietą.

Jednak młoda wdowa nie miała bynajmniej zamiaru wstąpienia w związki małżeńskie. Odpychała ją od tego ambitna chęć zapewnienia prawowitej władzy synowi, a sobie — stanowiska regentki w okresie niepełnoletności królewicza. Ten motyw dynastyczny był niewątpliwie decydujący, chociaż nietrudno sobie wyobrazić również i to, że młodej kobiecie, która zaznała szczęścia u boku małżonka, będącego w rozkwicie sił męskich, nie pilno było do ołtarza z młokosem (Władysław miał wówczas szesnaście lat i na dobrą sprawę mógłby być jej synem). Aby uniemożliwić koronację Jagiellończyka, a zarazem dokonać koronacji syna, Elżbieta przy pomocy zaufanej dworki wykradła koronę św. Szczepana z zamku wyszehradzkiego i schroniła się na zamku w Pożoniu.

Wybuchła wojna domowa. Nie będę opisywał tutaj jej perypetii. Po dwóch latach, w grudniu 1442 roku, doszło pomiędzy Elżbietą a Władysławem do ugody, która jednak nie miała praktycznego znaczenia, gdyż wkrótce po podpisaniu traktatu Elżbieta zmarła. Natomiast na porządku dziennym stanęła sprawa wyprawy wojennej na Turcję.

Do zawarcia ugody między Elżbietą a Władysławem przyczynił się papież Eugeniusz IV, którym kierowały wyłącznie jego własne interesy w walce z Soborem i papieżem soborowym Feliksem V. Po śmierci Elżbiety legat papieski Julian Cesarini, kardynał S. Angeli zaczyna montować krucjatę przeciwko niewiernym muzułmanom. Dotychczasowa, prowadzona od trzech lat defensywa węgierska w wojnie z muzułmanami dawała pomyślne rezultaty. We wrześniu 1443 roku pod wpływem energicznej interwencji kardynała Cesariniego defensywa zmienia się w krucjatę przeciwko Półksiężycowi. Wyprawa z królem Władysławem III na czele i wybitnym wodzem węgierskim, wojewodą siedmiogrodzkim Janem Hunyadim kończy się zwycięskim i bardzo korzystnym dla koalicji chrześcijańskiej pokojem zawartym w Szegedynie 1 sierpnia 1444 roku. Traktat pokojowy został zaprzysiężony przez Jagiellończyka. Kładę na to nacisk, gdyż („Szkoło, szkoło, gdy cię wspominam, oczy mam pełne łez") dawnymi laty uczono nas, sztubaków, mniej więcej w tym sensie: „Złamał przysięgę, Bóg go pokarał"! Legat Cesarini i papież Eugeniusz IV wpadają w rozpacz i desperację. Ostatni fundament ginącego na Wschodzie porządku, Konstantynopol, mógł być uratowany tylko przez zachodnie rycerstwo. Ale na zachodzie wiele się już zmieniło od czasu ostatnich wypraw krzyżowych. Mało już było takich zaślepieńców, którzy by chcieli wierzyć, że starcie orężne narodów europejskich z narodem muzułmańskim da się podnieść do rzędu wojny świętej Krzyża z Islamem. Tymczasem papież Eugeniusz IV potrzebował pilnie błyskawicznego sukcesu, którym by się mógł wykazać i pochwalić przed soborem i papieżem soborowym Eeliksem V. Dlatego legat papieski Cesarini „wychodził ze skóry" i robił wszystko, aby skłonić mało odpornego na sugestie, młodego i pobożnego Jagiellończyka do nowej krucjaty, zwolnił go od przysięgi na traktat w Szegedynie, grał na jego gorącej wierze, przywiązaniu do Kościoła katolickiego, ambicji rycerskiej itp. Rezultat wiadomy. Król Polski i Węgier łamie przysięgę i wyrusza z Hunyadim na wyprawę przeciwko Półksiężycowi. Krucjata była pośpiesznie i źle przygotowana, wielu magnatów węgierskich uchyliło się od udziału w wyprawie uważając ją za osobiste przedsięwzięcie króla. Podobnie w Polsce. Zjazd szlachty i wielmożów w Piotrkowie zażądał od Władysława III przerwania kroków wojennych i przybycia do kraju, gdzie czekało na rozstrzygnięcie królewskie wiele ważnych spraw. Niestety, młody władca Polski i Węgier, opanowany przez szczwanego kardynała, który umiał grać na strunach gorącej wiary pobożnego młodzieńca, poświęcił interesy obu krajów nie orientując się, że jest tylko narzędziem w rękach kurii papieskiej.

Pochód wojsk polsko-węgierskich, który zaczął się w połowie września, trwał do 9 listopada 1444 r. W tym dniu dwudziestotysięczna armia królewska dotarła do Warny (która od 1396 roku uginała się pod jarzmem tureckim). Wojsko chrześcijańskie opiera się o brzeg Morza Czarnego i wpada w pułapkę między morzem a bagnistymi brzegami jeziora Dewna, gdzie zostaje otoczone przez trzykrotnie większe siły nieprzyjaciela.

Bitwa zaczęła się przed południem 10 listopada atakiem muzułmanów i dalszym oskrzydlaniem sił chrześcijańskich. W toku bitwy Hunyadi udał się na zagrożone lewe skrzydło pozostawiając króla w centrum, gdzie Władysław miał czekać na wyjaśnienie się sytuacji, która zaczynała być groźna. Hunyadi zdołał odeprzeć uderzenie Turków na lewym skrzydle, lecz nie zdążył już powrócić na czas do ugrupowania w centrum. Młody król zniecierpliwiony długim czekaniem, porwany ambicją rycerską i zapałem bitewnym ruszył ze swym nielicznym hufcem na janczarów stanowiących trzon wyborowych oddziałów sułtana. Uderzenie było potężne, ale gdy siła rozpędu jazdy polskiej osłabła, szeregi tureckie zwarły się i masa piechoty nieprzyjacielskiej otoczyła hufiec. Koń królewski został ranny. Jagiellończyk zsunął się z wierzchowca na ziemię i zginął pod ciosem janczara.

Wieść o śmierci króla wywołała w szeregach chrześcijan panikę. Znużeni wielogodzinnym bojem żołnierze królewscy rzucili się do ucieczki. Hunyadi nie mógł już opanować popłochu w armii, która w rozprzężeniu cofała się za Dunaj. W czasie odwrotu zginął inicjator wyprawy kardynał Cesarini oraz poległo wielu dostojników polskich i węgierskich.

Wiadomość o klęsce warneńskiej rozniosła się po Europie równie szybko, jak legenda, że król polski ocalał i w przebraniu przedziera się przez Bałkany do kraju. Legenda, jaka zaczęła się tworzyć dokoła osoby Warneńczyka od momentu jego śmierci, i jaka opromienia tę sympatyczną postać po dziś dzień, tłumaczy się zwycięstwami, którymi zasłynął w pierwszej wyprawie przeciwko Turkom w 1443 roku. W oczach ujarzmionych przez Turcję południowych Słowian uchodził za ich wybawcę. Młody wiek poległego bohatersko w dwudziestym roku życia Jagiellończyka również dodaje melancholijnego uroku postaci młodocianego monarchy. I nie on, jako podległy wpływom Watykanu pobożny rycerz chrześcijański, ponosi winę za klęskę warneńską. Historia obarczyła odpowiedzialnością tych, którzy w imię własnych interesów i wygórowanych ambicji, nie angażując się sami militarnie, lekkomyślnie popchnęli niedoświadczonego króla do ryzykownego przedsięwzięcia, które wówczas przerastało siły obu narodów.

Rycerz polski z XIII–XIV w.

KRONIKA Antytelewizyjna

PONIEDZIAŁEK

W zakończeniu „Kandyda" bohaterowie jedzą kandyzowane owoce i pistacje a bohater powiada, że „trzeba uprawiać nasz ogródek". W zakończeniu telewizyjnego „Kandyda" wszyscy jedzą jabłka-malinówki. Otóż prawdziwy „Kandyd" tak się ma w smaku do telewizyjnej przeróbki, jak te pistacje do robaczywych jabłuszek. Niżej podpisana szczególnie lubi Wolterowską powiastkę i dlatego szczególny ma żal do realizatorów spektaklu. Nie było w nim ni cienia autentycznego dystansu do wydarzeń, ni cienia Wolterowskiej ironii, mądrości i wyobraźni. Pewnie, trudno w krótkim przedstawieniu przekazać całego „Kandyda" — ale jak smutno nam było, kiedy zrezygnowano z opowieści córki papieża Urbana i księżniczki Palestryny o wycinaniu jednego pośladka, kiedy nie znalazło się miejsca dla znakomitych dialogów i błyskotliwych ripost, kiedy zniknęły dzieje sześciu nieszczęśliwych królów, a filozof Pangloss nigdy nie nabawił się francuskiej choroby od Pakity. Starannie również usunięto z przedstawienia wszelkie dwuznaczności, brat Kunegundy nie był przyłapany nago z młodym muzułmaninem, margrabina w Paryżu nie obdarza Kandyda łaskami zaraz pierwszej nocy i Pakita nie trudni się tzw. nierządem.

Po tym nudnawym i długachnym spektaklu nikt kto „Kandyda" nie przeczytał przedtem, nie sięgnie już do tekstu.

WTOREK

Radziecki film „Jutro na orbitę" wyprodukowano w 1961 r. Jest to opowieść o przygotowaniach kosmonautów do lotów. Żeby go zrealizować trzeba było wtedy stosować zdjęcia trickowe. W roku 1964 za rzecz ekscytującą lecz mniej więcej normalną uważamy już bezpośrednie transmisje telewizyjne z Kosmosu!

ŚRODA

Oglądacze dziękują telewizji. Będziemy mieli nareszcie kurs języków obcych. Nie będziemy już zazdrościć rolnikom, sadownikom i mechanikom, dla których tyle było miejsca w programie. A propos: nowy, uroczy tytuł ubiegłotygodniowego Kursu Rolniczego brzmi: „Dój i postępowanie z mlekiem".

CZWARTEK

Nie bójmy się reklamy! To nie znaczy, żeby zaraz „Hamleta" miała nam przerywać pochwała żyletek albo „Dziennik" oda do najlepszych lodówek — lecz Pani Telewizja znalazła ostatnio szczęśliwą formułę dla reklamowania sprzętów, towarów, usług i sklepów. Formuła ta polega na pewnym zmrużeniu oka w stronę widza, na dystansie do opiewanej usługi. Filmiki „Tele-reklamy" są króciutkie lecz mają zabawne scenariusze a realizuje się je przy pomocy głosów dobrych aktorów. Jedynie PZU strasznie jakoś ponuro wypada — reklama Zakładu zaczyna się od słów: „Wszyscy ulegamy nieszczęśliwym wypadkom"...

PIĄTEK

Dlaczego „Odwety" mniej się dziś sprawdzają, dlaczego „Niemcy" byli i są wielką porażką w dorobku naszej dramaturgii a do pierwszej powojennej sztuki Kruczkowskiego mamy jednak krytyczny stosunek? Przecież to sztuka mądra i głęboko tkwiąca w określonym nurcie literackim i ideowym, a dzieje Julka stanowią jakby uzupełnienie historii Maćka Chełmickiego z „Popiołu i diamentu", „Kolumbów" Bratnego, czy niedawno prezentowanych „Braci" Wróbla.

Rzecz może w tym, że Kruczkowski zaostrzył problem aż do granic sztuczności, skoro do dramatu politycznego podziału narodu dodał dramat rodzinny, skoro przeciwieństwa postaw ideowych pokrywają się ze zrozumiałą niechęcią osobistą, skoro przeciwnik polityczny jest również tym, który ongi uwiódł żonę swemu adwersarzowi, zaś syn podnosi broń na ojca. Ponadto, Okulicz jest zbyt jednostronny, zbyt deklaratywnie „czarny", zbyt nieludzki abyśmy rozumieli go dziś — dziś gdy racje Okuliczów dawno zostały w świadomości społeczeństwa dokumentnie przekreślone.

SOBOTA

Krzysztof Teodor Toeplitz uparł się w audycji „Na wielkim ekranie" żeby nam zniszczyć legendę westernu. Nie pozostawił ni cienia złudzeń! Wykazał czarno na białym (przepraszam — ze względu na jakość obrazu raczej „na szarym"...) że poszczególni historyczni bohaterowie westernów byli w rzeczywistości albo tchórzami albo lobuzami, albo draniami, że nie umieli wcale strzelać i że ich życie prywatne przedstawiało wiele do życzenia.

A co się stanie, kiedy zdenerwowany „Duży Ekran" odpowie „Małemu Ekranowi" tym samym i zajmie się życiem prywatnym Dra Kildare'a, Zorra, Świętego?

NIEDZIELA

W niedzielę dokonałam następującego obliczenia: na około 46 godzin tygodniowego programu telewizyjnego, udział Łodzi wynosił 20 minut, we wtorek.

AGATA BARBARA CELSKA

Niech zważy nasz roboczy lud
Jak to się robi w Łodzi głód.

WACŁAW PRZYBYLSKI -rysownik dawnej Łodzi

On wiosny nie zauważy...

MOTTO: „Otwiera usta by krokodyl nilski tak go zachwycił Przybylski".
(z dawnego wierszyka łódzkiego)

Do dziwnych tajemnic Łodzi należy fakt, że miasto dumne z osiągnięć swego środowiska plastycznego ostatnich dziesięcioleci zapomniało zupełnie o tych rysownikach i malarzach, którzy tworzyli tu nieco dawniej. Na początku naszego wieku malowali w Łodzi — Szczygliński, Bartkiewicz, Haltrecht, Lipiec, Łubieński, Pietkiewicz, Przybylski, Szyk i inni. Kto dziś zna ich twórczość? Kto poza garstką zawodowych szperaczy pamięta te nazwiska?

Pragniemy dziś przedstawić postać charakterystyczną dla Łodzi pierwszych lat naszego stulecia, Wacław Nowina-Przybylski, ur. w 1870 roku w Jarosławicach w Poznańskiem, uczeń warszawskiej szkoły Gersona po uzupełnieniu swego wykształcenia w Krakowie i odbyciu zagranicznych wojaży do Berlina i Wiednia osiedlił się w Łodzi w roku 1895. Nie wiemy co skłoniło młodego artystę, którego zdjęcia przedstawiają jako uroczego przedstawiciela epoki malarskich peleryn do osiedlenia się w zapracowanej Łodzi, być może skłoniła go do tego bliskość Opoczna, w którym posiadał on drugi dom. Przybylski nie zrywa kontaktów ze środowiskiem krakowskim, bierze udział wraz z najlepszymi malarzami Polski w salonach Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych, gdzie wystawia obrazy, których tytuły brzmią zgodnie z duchem epoki: „Kain", „Ballada", „O zachodzie", „Nokturn". Wiąże się również ściśle z łódzkim środowiskiem kulturalnym, tu wystawia, tu tworzy projekty pomników Mickiewicza i Kordeckiego, które chce widzieć właśnie w Łodzi. Przyjaźni się z jedną z najciekawszych postaci miasta księdzem-poetą Szandlerowskim, ilustruje między innymi jego dramat „Samson". Równocześnie Przybylski widzi istotne społeczne problemy miasta, w którym żyje. Kiedy zaproponowano mu w roku 1904 narysowanie okładki do reportażu Stefana Górskiego „Łódź spółczesna" wydanego w roku 1904 ozdobi ją postacią robotnika pełną siły i ekspresji zaostrzając wymowę tej raczej ostrożnej w swych sformułowaniach książki. Z chwilą powstania w roku 1911 łódzkiego pisma satyrycznego "Śmiech", Przybylski staje się jednym z jego filarów. Jego rysunki pełne społecznej pasji czasem reportersko bezpośrednie, czasem posługujące się alegorią, zawsze dotyczą spraw dla miasta istotnych. Przybylski próbuje oddać „ducha" miasta, rysuje typy uliczne i scenki rodzajowe, takie jakie dla Warszawy kreślił przez całe lata Kostrzewski. Najlepsze, pełne zaangażowania i rozmachu rysunki trudno nazwać humorystycznymi, kiedy artysta pragnie śmieszyć i bawić ucieka się chętnie do pomysłów prostych i rubasznych, a rysunek jego staje się mniej precyzyjny. Przybylski na pewno należał jednak do najlepszych rysowników współpracujących w owych latach z polskimi pismami satyrycznymi. Reprodukujemy niektóre rysunki zamieszczone przez artystę w łódzkim „Śmiechu". Nie stał się on jednak „łódzkim Kostrzewskim". Twórczość satyryczną uprawiał marginesowo i krótko. Mniej więcej w okresie wielkiej wojny artysta opuszcza Łódź. Nie przestaje malować i uczestniczyć w wystawach. Umiera w roku 1933 w Warszawie, nie zdobywszy jednak poza Łodzią szerszego uznania i popularności.

JANUSZ DUNIN

...on czeka wiosny...

Rys. W. Przybylski.

Półka z książkami

NIEZWYKŁA KARIERA

Bohater omawianej książki nie jest złodziejem pospolitym, którego do przestępstwa popchnął głód, czy też chęć zdobycia wielkiej fortuny. Nasz bohater pochodzi z dobrej rodziny i z początku zajmuje się wyłącznie wyprzedawaniem starych, niepotrzebnych mebli, później innych, nawet niezbędnych przedmiotów. Z kolei, kiedy już nie ma co sprzedawać, idzie pomodlić się i zatopiony w modlitwie podnosi wzrok, zatrzymując go na puszce z pieniędzmi zawieszonej w kościele, do której wierni składają datki.

Uważa, że stał się cud. Na usprawiedliwienie twierdzi, że pieniądze składane świętym nie są niczyją własnością, bo ofiarodawcy pozbywają się ich z dobrej woli, z kolei święci, którzy są istotami bezcielesnymi nie potrzebują tych pieniędzy osobiście, więc mogą się podzielić z nim, który zanosi do nich modły. A więc podbieranie pieniędzy z puszek nie jest kradzieżą.

Zaczynamy krążyć z bohaterem w jego wędrówkach złodziejskich po wszystkich niemal kościołach Paryża. Przy okazji mówi on o ważniejszych zabytkach sztuki sakralnej z jednej strony, z drugiej ukazuje nam zarówno obyczaje księży, wiernych, dewotów, a także kościelnych złodziei i policji, która zajmuje się ich tropieniem. Miejscami Serwin przypomina Gombrowicza, ale częściej Evelyn'a Waugh, tak dalece, że niektóre sceny wydają się być, jakby wyjęte z kapitalnej książki „Czarna zaraza". Uważam, że książka ta jest jedną z najlepszych pozycji, jakie „Czytelnik" wydał w ostatnim czasie.

JHW

Michael Servin „Deo gratias", „Czytelnik", Warszawa 1964, str. 216, cena 12 złotych.

NA WŁASNYM TROPIE

Walter Kaufmann — niemiecki pisarz średniego pokolenia, miał niezwykle skomplikowaną biografię. Historia sprawiła, że jego doświadczenia życiowe były — niezwykłe.

Oto jako dwuletnie dziecko został zaadoptowany przez żydowską rodzinę. Z chwilą dojścia do władzy — hitlerowcy aresztowali jego przybranych rodziców, zaś on sam, jako kilkunastoletni chłopiec — uciekł do Anglii. Tutaj z kolei w pierwszym roku wojny zostaje internowany i przewieziony do Australii.

Kraj ten wywarł na nim niezatarte wrażenie. Właśnie tom zaprezentowany nam przez Wydawnictwo Poznańskie zawiera opowiadania, których akcja rozgrywa się w Australii. Egzotyka opisywanych miejsc i zdarzeń sprawia, że książkę tę czyta się z przyjemnością. Opowiadania te przyniosą czytelnikowi wiele satysfakcji.

Z drugiej jednak strony, trzeba dodać, że czasem rażą komentarze autorskie dotyczące spraw społecznych.

W sumie jednak książka przyczyni się niewątpliwie do poszerzenia zarówno naszej wiedzy o Australii i jej skomplikowanych sprawach, jak i o pisarstwie niemieckim, literaturze NRD, które Kaufmann godnie reprezentuje. A przecież w tym względzie, mamy zdaje się sporo zaległości.

Walter Kaufmann — „Przekleństwo nad Maralingą", Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 1964, str. 193, cena 16 zł.

„DOŚWIADCZENIA I MITY"

Krytyczne doświadczenia, jakie zebrał z bodaj ośmiu ostatnich lat w tej książce Ryszard Matuszewski, prezentują się bardzo dostatnio i różnorodnie: przeglądamy wraz z autorem diagnozy, kierunki i dążenia współczesnego życia literackiego i polityki kulturalnej, zwłaszcza wydawniczej; analizujemy problemy współczesnej, polskiej prozy, odświeżamy w pamięci, wyciągając je z archiwum recenzenta, najcelniejsze, najbardziej symptomatyczne dla lat 1956—63 powieści Iwaszkiewicza, Stryjkowskiego, Andrzejewskiego, tomy liryków (wciąż cytuję przykładowo!) Różewicza, Grochowiaka, Kamieńskiej, uzupełniamy wiedzę o genezie i tle współczesności literackiej nawracając do kręgu „tamtego"; międzywojennego dwudziestolecia, wreszcie wnikamy w arkana opracowującego te wszystkie problemy, cyzelującego ich rozbiór i ocenę warsztatu krytyka.

Wygląda to na wielkie materii literackich pomieszanie, na smakowity, co prawda, melanż krytycznych komentarzy, drukowanych ongi w prasie — ale to bez mała taki sam mit jak te, z którymi Matuszewski skrupulatnie, lecz spokojnie i — co najważniejsze — uczciwie rozrachowuje się w swojej książce. Czyta się te szkice mimo, a właściwie — wbrew różnym datom ich prasowych narodzin właśnie jak rozdziały książki napisanej specjalnie dla czytelnika roku 1964, jak nie tyle fragmenty literackiej kroniki (choć i nią są „Doświadczenia i mity"), ile argumenty w dyskusji ze zjawiskami naszej literackiej współczesności, które Matuszewski rozważnie wybiera, wstrzemięźliwie aprobuje, a jeszcze wstrzemięźliwiej krytykuje. W „Doświadczeniach i mitach" (w przeciwieństwie do niektórych współczesnych zbiorów krytycznych, a także — do niektórych poprzednich, zwłaszcza podręcznikowych, książek Matuszewskiego) toczy się bowiem dyskusja; a nie rozprawa z polską literaturą współczesną, a prowadzący ją krytyk nie ukrywa wprawdzie swoich ideowych skłonności — np. do literatury społecznie zaangażowanej — czy artystycznych sympatii — np. do bardzo zresztą szeroko, z rozmachem, pojmowanego realizmu — ale nie zacietrzewia się z tych racji prokuratorskim oburzeniem. Stać go zawsze na dobre słowo obrony, a w każdym razie — na przyznanie, że czegoś w książce, jej autorze nie lubi, bądź nie rozumie. I — co najlepsze — Matuszewski wcale na tym źle nie wychodzi — zobowiązuje bowiem do takiej samej względem siebie postawy czytelnika „Doświadczeń i mitów". A czytelnik wychodzi na tym jeszcze lepiej: z dyskusji z Matuszewskim wynosi bowiem nie tylko bogatszy i składniej uporządkowany obraz literatury powojennego i międzywojennego dwudziestolecia, lecz i umiejętność wnikliwszego rozumienia i osądzania literatury.

Z. P.

Ryszard Matuszewski: „Doświadczenia i mity". PIW 1964, str. 526, cena 35 zł.

HENRYK PUSTKOWSKI

„WRASTANIE" EUGENIUSZA PAUKSZTY*)

Geneza metaforycznego tytułu kolejnej książki E. Pauksztv leży w znanym porzekadle o „ludziach - ptakach i ludziach - krzakach". Autor — wierny tematyce uprawianej od lat powojennych — i tu zajmuje się nielatwym procesem wrastania w Ziemie Odzyskane, odnajdywania sensu w życiu rozpoczynającym się „od nowa" w okolicznościach zmuszających do walki, w której trudno przesądzać o wygranej. Z trzech bohaterów omawianej książki zdecydowanie wygra Wiktor Pacuk. Za cenę rezygnacji z osobistego życia, za sprawa owej „twardości", której nie zdołały skruszyć dwukrotne niesłuszne aresztowania, wykluczenie z partii, otaczająca go atmosfera nieufności, w końcu krzywda, jaka spotyka jego starego ojca. Najsympatyczniejsza postać książki — Paweł Sekuła — zostawia swoje dzieło w połowie rozpoczęte. Śmierć przerywa jego nielatwą aklimatyzację psychiczną, ale jednocześnie chroni go przed „trzęsieniem ziemi" przeżywanym przez pozostałych bohaterów. Problematyczne wydaje się zwycięstwo Tadeusza. To już człowiek złamany, usprawiedliwiający gorzko swoją małą stabilizację.

Postaci Pauksztv oceniamy bardziej miarą wysiłków, jakie wkładają w walkę o zachowanie swej autonomii moralnej niż końcowym rezultatem ich zmagań. Autor zda się twierdzić o niemożności sprowadzenia wartości moralnych do wspólnego mianownika, hierarchizowania ich w skali: heroizm — oportunizm. Przysądza zatem swoim bohaterom równe prawa do sympatii ze strony czytających. O sympatii tej decyduje postawa zaangażowania cechująca trzech bohaterów „Wrastania". Każdy z nich angażuje się jednak w inne sprawy. Każdy inaczej przeżywa „wrastanie". Wspólne są dla nich: Wileńszczyzna, na której się urodzili i „haczyk w życiorysie" — przynależność do AK. To ostatnie postawi ich również przed wspólnym wrogiem: nieufnością, nadgorliwością i bezdusznością organów bezpieczeństwa i demagogicznymi krzykaczami, którym jako „podejrzani" nie mogą się skutecznie przeciwstawić.

Bohater tytułowy pierwszej części — Paweł — jest przedstawicielem typu „człowieka - krzaka". Ów chłop, inteligentny choć naiwny, odznaczający się atawistycznym przywiązaniem do ziemi, staje się poniekąd centralną postacią książki. Wiktora i Tadeusza oglądamy przez pryzmat jego zapisków, dwie późniejsze części są właściwie konfrontacją naszych spostrzeżeń z opiniami, jakie Sekuła wydał przyjaciołom. Ten zagubiony wśród sprzecznych osądów ówczesnej rzeczywistości człowiek szuka w nich (szczególnie w Tadeuszu) potwierdzenia swych, przeczuwanych instynktownie racji. Ogranicza się do „dobrej roboty". Z równie naiwnym zdumieniem przyjmuje szykany (że „kułak", że były akowiec) jak i późniejsze wyróżnienia. Umiłowanie ziemi pozwoli mu szybciej dostosować się do nowych warunków, ale i przywołuje wizję rodzinnych Miejsut. Jego gospodarskie poczucie ładu buntuje się przeciwko chaosowi tamtych czasów. Kronikarskie zapiski Pawła (o dużych walorach poznawczych) mówią o trudnych początkach Ziem Odzyskanych. Odżywa w nich jeszcze raz: szaber, bandytyzm, niewłaściwy często stosunek do autochtonów — zjawiska rodzące krzywdę, zniechęcające do wrastania w nieprzyjaznej, nowej ziemi.

Ta partia powieści ma chyba największą wartość w tryptyku Pauksztv. Obiektywizm i umiar w opisywaniu smutnych nieraz rzeczy dają jej walor autentyzmu. Przed pokusą łatwego zbrutalizowania opisywanych czasów chroni doskonale przez autora wybrana forma podawcza, sprowadzająca wszystko do wymiarów „ludzkich", do atmosfery humanistycznego ciepła. Prowadzić to może do pewnej naiwności (i tej Pauksztа się nie ustrzegł), ale jest to naiwność zamierzona. Zamierzone też jest (aczkolwiek może denerwować czytających) nadużywanie zdrobnień — świadczące o sentymentaliźmie Pawła Sekuły. Adekwatność środków stylistycznych z portretem psychicznym narratora jest niemałym osiągnięciem pisarskiego warsztatu.

Na tle części pierwszej dwie pozostałe zdają się wypadać bardziej blado. Łatwiej zapewne było autorowi, doskonale zresztą zorientowanemu w tej problematyce, śledzić zjawisko adopcji Ziem Zachodnich, niż w pełni ocenić „okres błędów", nie popadając przy tym w schematy „rozrachunkowe". Obiektywizm, charakterystyczny dla pierwszej części, i tu został przeniesiony. Postaci jednak rysują się słabiej, konflikty typowe, ale przedstawione w sposób mniej przekonywający. Subtelniejsza analiza motywów postępowania bohaterów została zastąpiona jawnym rezonerstwem (szczególnie w partii „Tadeusz").

Literatura polska czeka zatem na książkę, która by — mając range utworu artystycznego wysokiej klasy — dała pełny i przekonywający obraz lat „kultu jednostki". Tej rangi powieść Pauksztv jeszcze nie osiąga. Pozostaje jednak jako ambitny utwór, którego nie można pominąć przy śledzeniu współczesnego ruchu literackiego.

*) Eugeniusz Paukszta — Wrastanie. PIW. Warszawa 1964 r.

KSIĄŻKI NADESŁANE

Zofia Karkowska: Niecierpliwi. Wyd.III, Czytelnik, zł 20.

Stanisław Helsztyński: Moje Szekspiriana. PIW, zł 25.

Tomasz Mann: Eseje. PIW, zł 40.

Jacek Frühling: W moim kalejdoskopie. PIW, zł 12

Jurij Dąbrowski: Małpolud przychodzi po swoją czaszkę. Iskry, zł 10.

Ryszard Danecki: Afrasiabe — wiersze. Wyd. Poznańskie zł 7.

Napisz co myślisz

O KSIĄŻKACH WYDAWNICTWA ŁÓDZKIEGO.
O REPERTUARZE TEATRÓW ŁÓDZKICH,
O „ODGŁOSACH".

a list Twój weźmie udział w losowaniu nagród książkowych. Najciekawsze wypowiedzi opublikujemy na łamach Twego tygodnika.

„ODGŁOSY"

SPEKTAKLE tygodnia

FILM

POLONIA — „Przerwany lot"		
35 seansów	7.755	widzów
WOLNOŚĆ — „Odwet kapitana Lesza"		
34 seanse	5.268	„

TEATR

NOWY — „Wicek i Wacek"		
4 spektakle	2.400 —	85%
„Wybór"		
2 spektakle	700 —	50%
NOWY (Mała Sala) — „Piotr i ja"		
2 spektakle	400 —	100%
„Garść piasku"		
2 spektakle	300 —	70%
JARACZA — „Zaproszenie do zamku"		
3 spektakle	1.500 —	75%
„Wyzwolenie"		
1 spektakl	600 —	88%
POWSZECHNY — „Ktoś nowy"		
2 spektakle	965 —	72%
„Piosenka prawdę ci powie"		
1 spektakl	667 —	100%
„Romeo i Julia"		
1 spektakl	647 —	97%
7.15 — „Pani Prezesowa"		
5 spektakli	1.975 —	89%
OPERA — „Legenda Bałtyku"		
1 spektakl	680 —	95%
OPERETKA — „Ułani księcia Józefa"		
5 spektakli	4.540 —	80%
FILHARMONIA — 2 koncerty symfoniczne	900 —	60%
ESTRADA — „Jesienna parada"		
6 występów	2.700 —	90%

Cyfry procentowe oznaczają stosunek widzów do ilości miejsc na widowni.

Mamy poza sobą dwadzieścia lat powojennych dziejów, a nie dysponujemy ani historią literatury, ani historią teatru tego okresu. Jeśli nie liczyć podręczników do szkół średnich Ryszarda Matuszewskiego, które zresztą nie cieszą się najlepszą opinią, to wypadnie nam stanąć wobec kompletnej pustki w tej dziedzinie. I oto rzecz paradoksalna. W bieżącym roku, a ściśle biorąc, przed paroma tygodniami, ukazała się historia życia teatralnego w Polsce powojennej. Tyle tylko, że... ukazała się ona w Niemczech zachodnich. Książka nosi tytuł „Das polnische Theater nach dem Zweiten Weltkrieg", wydało ją wydawnictwo N. G. Elwert w Marburgu, zaś autor nazywa się Karl Hartmann. O autorze wiemy tyle, że jest młody, że urodził się w okolicach Częstochowy i że znakomicie język polski. Jego praca składa się z dwu części: pierwsza obejmuje lata 1944 — 1955, druga — lata 1956 — 1962. Stwierdźmy od razu na początku, że książka Hartmanna napisana jest z dużą znajomością przedmiotu i z tą dozą sympatii dla polskiego teatru, która czyni ją dla nas szczególnie cenną. Nie brak w pracy Hartmanna licznych zdjęć z wielu spektakli, a wśród nich — co na leży podkreślić z uznaniem — zdjęć z przedstawień Schillerowskich, a następnie Dejmkowskich w Łodzi. Mamy więc ilustracje z przedstawień „Krakowiaków i górali", „Celestyny", „Burzy", „Igraszek z diabłem", „Łaźni", „Żywota Józefa". „Nocy listopadowej", „Święta Winkelrida" i „Historyi o chwalebnym zmartwychwstaniu Pańskim".

Na początku Karl Hartmann daje krótki rys dziejów teatru polskiego w wieku dwudziestym, zauważając, że od momentu odzyskania przez Polskę niepodległości w 1918 roku, życie teatralne cechuje stały wzrost, a obecnie, po drugiej wojnie światowej, dramaturgia polska budzi żywe zainteresowanie w całej Europie. Zasadniczo uwagę swoją skupia autor na teatrach Warszawy, Krakowa i Łodzi, wychodząc z założenia, że te trzy

O NASZYM TEATRZE - nie u nas

miasta stanowią o poziomie i charakterze sztuki polskiej po wojnie. Ale od czasu do czasu wspomina i inne przedstawienia, podpierając nimi tezę o szybkim i wszechstronnym rozwoju życia teatralnego w naszym kraju. Monografia Hartmanna nie jest pracą w pełni samodzielną. Opiera się on zasadniczo na sądach i opiniach krytyki polskiej, cytując ją gęsto na kartach swojej książki. Ale też nie przegapia niczego, co może wyjaśnić lub pomóc w zrozumieniu naszej skomplikowanej sytuacji kulturalnej i jej przemian.

O bogactwie książki Hartmanna świadczyć mogą same tytuły rozdziałów, wskazujące na rozpiętość podejmowanych zagadnień. A więc w części pierwszej następujące rozdziały: odbudowa i pierwsze lata powojenne, przedstawienia Leona Schillera, pod znakiem realizmu socjalistycznego, nowy repertuar, Bertolt Brecht w Polsce, „odwilż", fala odnowy. W dziale drugim autor podejmuje takie zagadnienia: młode sceny przejmują przodownictwo, po przemianach października 1956 roku, wielki dramat narodowy, inwazja współczesnego dramatu zachodniego, „sezon w piekle", nowe polskie dramaty, otwarcie na wschód i zachód. Już z samego wyliczenia tytułów poszczególnych rozdziałów wynika, że Hartmann starał się objąć całokształt przemian teatralnych w Polsce na tle przemian społecznych i trzeba powiedzieć, że mu się to w dużej mierze udało.

Nas, rzecz jasna, najbardziej interesuje to, co Hartmann pisze o Łodzi i naszych łódzkich teatrach. W części pierwszej omawia on wnikliwie wszystkie ważniejsze inscenizacje Schillerowskie, przyznając im decydujący wpływ na proces kształtowania się życia teatralnego w tamtych latach. Znacznie szczegółowiej rozpisuje się Hartmann o inscenizacjach Dejmka, może dlatego, że niektóre z nich widział, będąc w Polsce, podczas, gdy inscenizacje Schillera zna jedynie z fotografii, kronik i recenzji. O „Święcie Winkelrida" czytamy: „Dejmek skoncentrował wszystkie swoje umiejętności na tak aktualnie brzmiących i odbieranych pointach tej sztuki, na błyskotliwych, niekiedy zniesławiających uczucia narodowe dialogach, na odkryciu podtekstów i ostrej charakterystyce głównych postaci. Scenografia Józefa Rachwalskiego, bogata w dowcipne pomysły i efekty, i muzyczna oprawa Tomasza Kiesewettera przyczyniły się w istotnym stopniu do powodzenia utworu. Parodystyczne pomysły kompozytora, nieco stylizowane kostiumy wykonawców, które mimo to nie odbiegały od realizmu, zasługują w równym stopniu na pochwały jak i sztuka sama. Nie było gwiazd, Dejmek zatroszczył się o to. To jest jedno z jego reżyserskich założeń".

Nie wiemy, co by na to powiedział sam Dejmek, który zapewne odszedł daleko od swoich poprzednich poglądów. Jedno jest niewątpliwe, że w latach, o których mowa, istotnie większą przykładał on wagę do spraw inscenizacyjnych, niż aktorskich. Przypominam sobie, jak mawiał nieraz: „Najchętniej wprowadziłbym na scenę zamiast aktorów kukiełki".

Warto jeszcze zacytować sąd Hartmanna o przedstawieniu „Nocy listopadowej" w Teatrze Nowym. Hartmann pisze między innymi: „Dejmek skreślił blisko połowę wielkiego dramatu. Pozostało jednakże 1440 wierszy. Przede wszystkim inscenizator starał się wyjaśnić sceny mitologiczne. Miało to swoje znaczenie, ale szło również o koncentrację na sprawach zasadniczych. W inscenizacji Dejmka panowały jasność i logika, „Noc listopadowa" pokazał on z polotem i przekonywająco jako wielki narodowy czyn bohaterski, porywająco i w sposób godny naśladowania".

Z podobnym uznaniem, a nawet entuzjastycznie wypowiada się Hartmann o „Historyi" i pozostałych inscenizacjach Dejmka. Szkoda tylko, że to wszystko nie może być znane przez szerszy ogół ludzi, interesujących się teatrem. Wkrótce Wydawnictwo Łódzkie ogłosi pracę Marii Czanerle pt. „Teatr pokolenia", poświęconą Teatrowi Nowemu. Będzie to ważna publikacja. Ważna i wartościowa. Nie zastąpi nam ona jednak historii powojennego teatru, na którą wciąż czekamy. Historia, napisana przez Karla Hartmanna, jest czynem bez wątpienia pięknym, ale dla naszych krytyków i historyków teatru jak najbardziej zawstydzającym. Zresztą — dobrze im tak!

Jan Koprowski

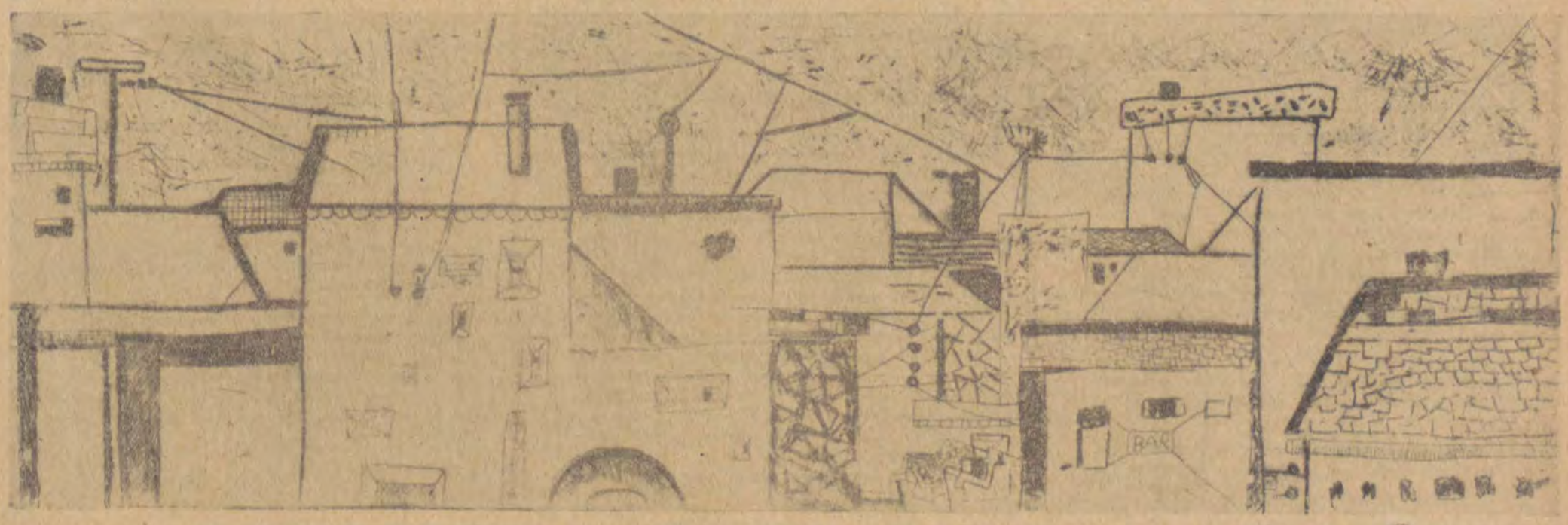

Adam Wolski

Grafika

A. DNIEPROW

„LUDWIK"

1.

Pasażerowie odlatujący w kierunku Księżyca, trasa 207, proszeni są o zajęcie miejsc.

Olga spojrzała mi w oczy.

— No, Władо! Bądź chociaż trochę weselszy!

Jej twarz promieniała radością. Mocno ścisnąłem jej rękę. Patrzyłem w stronę zielonego horyzontu, gdzie wznosiła się srebrzysta bryła olbrzymiego statku kosmicznego, który był skierowany w stronę Słońca. Wydawało się to trochę dziwne, że właśnie w południe statek odlatuje na Księżyc.

— Czy zostaniemy przyjaciółmi? — spytała Olga.

Skinąłem głową.

— Jesteś strasznie miły, Władо. Do widzenia.

— Pozdrów ode mnie Grzegorza.

— Oczywiście.

Stałem przez chwilę patrząc na srebrzystego olbrzyma.

— No to ja już pójdę.... — powiedziałem.

Koledzy nawet nie starali się mnie zatrzymać. Wszyscy wiedzieli o co chodzi. W każdym bądź razie domyślali się.

Kiedy byłem już w parku, tuż obok kosmodromu, poczułem jak drgnęło powietrze, a szerokie fale na wszystkie strony zaczęły roznosić ryk potężnych silników. Zatrzymałem się obserwując horyzont, który przesłaniały mi zielone lipy. Srebrzyste cygaro zachwiało się w kłębach czarnego dymu i powoli zaczęło unosić się do góry. Przez chwilę przejmujący gwizd przecinał gorące powietrze, wreszcie statek kosmiczny zniknął w oślepiającym błękicie nieba.

2.

„Kiedy ci ciężko na duszy — idź do ludzi". Nie pamiętam kto to powiedział, ale dopiero wtedy, kiedy ma się jakieś kłopoty można sprawdzić prawdziwość tych słów.

W laboratorium dosłownie rzucił się na mnie Herman.

— Chcą zniszczyć „Ludwika". Powinniście przeszkodzić temu i nie pozwolić — wykrzykiwał szarpiąc mnie za połę kurtki.

— Dlaczego? — zdziwiłem się.

— A spytajcie ich, tych dwaków.

— Nie pozwólcie zniszczyć „Ludwika" — prosiły dziewczęta. — Jeżeli im jest potrzebne miejsce dla nowej maszyny, mogą je znaleźć na trzynastym piętrze.

Wiedziałem, że nie jestem w stanie uratować „Ludwika", ale mimo to poszedłem do kierownika oddziału

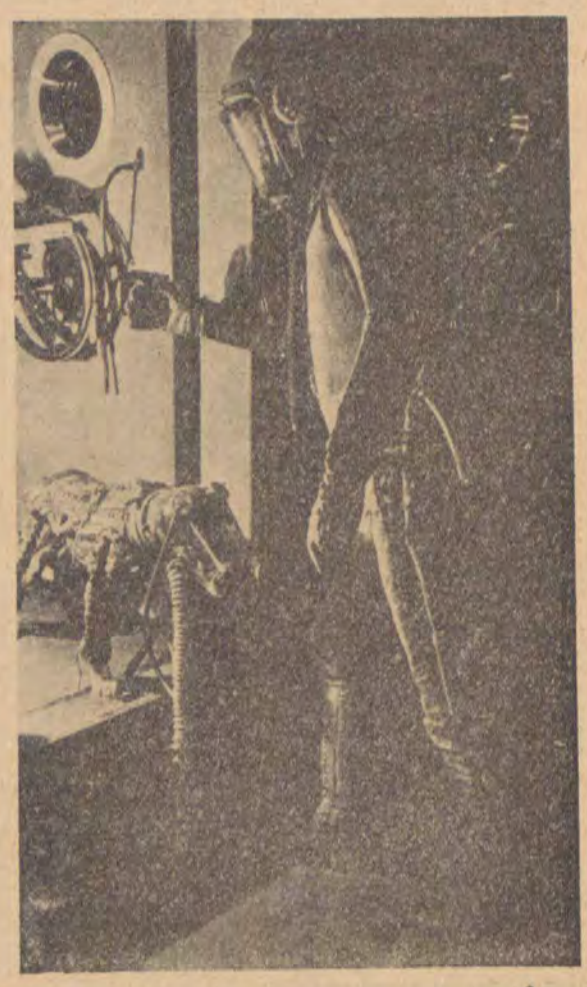

maszyn elektronowych. Przywitał mnie chytrym uśmiechem.

— Siadajcie, Władо. Pogadamy o losie „Ludwika". Jak przebiegał moment startu Olgi?

— W porządku — próbowałem się uśmiechnąć. — Czy mimo wszystko nie można go zostawić na miejscu?

— Ależ skąd, Władо Andrejewiczu. Przecież to starzyzna. Tylko pół miliona działań na sekundę. Przecież nas wszyscy wyśmieją jeżeli dowiedzą się, że przechowujemy taki muzealny eksponat.

— Maszyna ma świetną pamięć i bardzo bogate zapisy... — próbowałem oponować.

— No tak, ale ona ma już prawie sto lat. I zrobili ją metodą chałupniczą — ręcznie. Dotknąć, to się rozleci. Unowocześniano ją w ciągu dziesięcioleci, tak że teraz wygląda jak straszydło, do którego poprzykręcano różnego rodzaju bloki, dezyfratory.... Ale po co ja wam to mówię, kiedy wy i tak doskonale wiecie.

Westchnąłem.

— Więc nic z tego?

— Niestety.

Wyszedłem z gabinetu. Towarzyszył mi Herman. Chwalił starą maszynę w nadziei, że uda się ją zachować.

— Czy nie wiecie przypadkiem dlaczego maszyna nazywa się „Ludwik" — spytałem.

Herman przystanął, pomyślał i odpowiedział:

Wiem tylko, że nazywa się tak nie mniej niż siedemdziesiąt lat. W bibliotece natknąłem się na pracę, którą wykonał „Ludwik" w 1975 roku. Już wtedy maszyna miała imię.

Nie zauważyłem kiedy zapadła ciemność i zapaliło się światło dzienne. Otworzyłem okno i spojrzałem tam, gdzie kończyły się domy i zaczynało się pagórkowate pole. Zupełnie nisko nad horyzontem wisiał Księżyc i ogarnęło mnie przerażenie, bo wydawało mi się, że Olga odleciała zupełnie w innym kierunku.

Zielone wzgórza za miastem pokryła siwa mgła. Było bardzo cicho.

— No cóż, „Ludwiku", jesteś my teraz sami... — szepnąłem podchodząc do starej maszyny.

Na podrapanym pulpicie paliła się czerwona neonówka, co oznaczało, że pamięć maszyny jest włączona i że rejestruje ona wszystko co się koło niej mówi albo robi.

— Milczysz? Przez sto lat nie nauczono cię mówić. Może dlatego, że jesteś niemy jest mi z tobą dobrze.

Maszyna była zakurzona, izolacja poczerniała. Przełącz niki były już zardzewiałe. Zrobiło mi się smutno.

Tutaj przy tym sumatorze pierwszy raz spotkałem Olgę. Powiedziała mi wtedy:

— Myślałam, że ta maszyna to cud wyobraźni. Co to jest? Wygląda jak suszarka.

— To jej pamięć.

— Naprawdę? Jeżeli tak wygląda pamięć maszyny...

— Pamięci nie sądzi się po wyglądzie — oburzyłem się.

— No to co. Lubię to wszystko, co jest piękne. Możecie mi pomóc?

Olga pracowała w instytucie biometrii, dlatego do mnie przyszła.

— Z taką pamięcią na wynik trzeba czekać lata — denerwowała się podczas gdy ja manipulowałem przy klawiaturze. — A profesor Pawłow potrzebuje wynik na pojutrze.

— Oto wynik — powiedziałem, podając jej tabliczkę z cyframi.

Olga popatrzyła na mnie podejrzliwie.

— Chyba żartujecie!

— Nie. Proszę sprawdzić. A oto grafik. Na nim jak na dłoni widoczna jest ekologia waszego królestwa wodorostów. Punkt równowagi „Ludwik" podkreśliłem czerwonym atramentem.

Olga czuła się zażenowana i z poczuciem winy popatrzyła w stronę skrzynek z pamięcią.

Od tego wieczoru zaczęliśmy się spotykać. Droga w stronę kosmodromu była ulubionym miejscem naszych spacerów.

— Władо, czy to prawda, że przy pomocy maszyn można dowiedzieć się o czym myśli człowiek i co on czuje?

— Chyba można, ale po co?

— Bardzo bym chciała wiedzieć, co ty teraz czujesz.

Zmieszałem się.

— Bez maszyny też się domyślam.

— Jeżeli już się domyślasz, to lepiej nie mów.

— Jak długo rakieta leci na Księżyc? — spytała.

— To zależy od trasy. Dwadzieścia pięć do trzydziestu godzin.

— Bardzo długo. Patrz Władо, oto on! — krzyknęła Olga, pokazując odbicie Księżyca w lekko falującej wodzie. — Jak bardzo bym chciała tam być...

— Ola, chcę ci powiedzieć...

— Nie trzeba, Władо. Jutro odlatuję. I kocham pewnego człowieka. Nazywa się Grzegorz... Przecież znasz go. On jest tam — i wyciągnęła rękę w kierunku Księżyca.

Z powrotem szliśmy milcząc i wtedy bałem się spojrzeć jej w oczy. Chciałem, żeby Księżyc przesłoniły chmury.

Żegnając się, Olga przytrzymała moją rękę.

— Wybacz mi, Władо. Trzeba było wcześniej o tym powiedzieć. Wybacz mi. Jesteś takim dobrym i wiernym przyjacielem, a ja jestem taka głupia...

...Nigdy nikomu o tym nie mówiłem. Tylko tobie, „Ludwiku". I tylko dlatego, że cie bie już niedługo nie będzie...

3.

W tydzień po odlocie Olgi do mojego laboratorium przybiegł zadyszany Sieriożka.

— Władо, przygotuj wiersze!

— Jakie, dla kogo?

— Oczywiście najlepsze, dla człowieka, który znajduje się w niebie.

— Nic nie rozumiem.

— Ależ dziwak z ciebie. Przecież to już jutro będziemy obchodzili setną rocznicę otwarcia trasy Ziemia – Księżyc. Między innymi w programie przewidziana jest łączność radiowa z Księżycem.

Drgnąłem.

— Czy nie chciałbyś porozmawiać z Olgą?

Wzruszyłem ramionami, bo nie wiedziałem co odpowiedzieć.

— Jesteś jakiś dziwny, Władо, naprawdę. Zresztą rób jak chcesz. Gdybyś się zdecydował na rozmowę, przyjdź między siódmą a dziewiątą wieczorem na punkt łączności kosmicznej, siódme piętro, pokój 700.

Dłuższy czas chodziłem po pokoju i byłem zupełnie niezdecydowany.

— Co robić „Ludwiku"? — spytałem starą maszynę.

Oczywiście powinienem powiedzieć Oldze to, czego jeszcze nie powiedziałem. Ale jak? Jakimi słowami?

— Ja kocham Olgę, „Ludwiku"! W jaki sposób jej o tym powiedzieć?...

...Podszedłem do pulpitu i przekręciłem włącznik i całą pamięć maszyny. „Ludwik" zahuczał jakby przyrzekając mi, że jest w stanie wypełnić każdą moją prośbę. Wybrałem spośród klawiszy ten, który był najmniej używany...

4.

Następnego dnia przekazałem mały kłębek drutu dziewczynie-operatorowi. Zdziwiła się:

— A sami nie będziecie mówili?

— Nie.

— Komu mam przekazać?

— Oldze Alechinoj, baza biofizyczna.

Dziewczyna wstawiła szpulkę do aparatu odtwarzającego i pochyliła się nad mikrofonem.

— Tu Ziemia. Przekazujemy wiadomość Oldze Alechinoj z biofizycznej bazy.

W głośnikach ustawionych w sali usłyszałem najpierw szmer, a potem głos:

— Olga nazywa się teraz Kareno. Znajduje się w kraterze Kopernika w mieszkaniu swojego męża Grzegorza Kareno. Czy będzie rozmowa?

Skwapliwie zaprzeczyłem ruchem głowy. Dziewczyna powiedziała:

— Dla Olgi Kareno mamy wiadomość. Proszę włączyć mieszkanie. Halo, Olga Kareno, halo...

— Jestem przy odbiorniku, słucham!

I nagle usłyszałem muzykę. Był to jakiś stary utwór na fortepian. Melodia płynęła szerokim, jasnym strumieniem, a akordy tworzyły zadziwiające, połyskujące tło, które kiedy zamknąłem oczy przekształciło się w światło Księżyca. Był to utwór delikatny i smutny...

Dziewczyna-operator zaanonsowała następną korespondencję, ale ja już tego nie słyszałem. Szybko szedłem przez korytarz. Obok mnie szedł jakiś siwowłosy mężczyzna.

— To był doskonały pomysł, młodzieńcu — powiedział. Przystanąłem i spojrzałem na niego ze zdziwieniem.

— A co to za utwór?

— Nie wiecie?

Zmieszałem się. Skąd miałem wiedzieć! Przecież ten list wymyślił sam „Ludwik"!

— Młodzieńcze — powiedział mężczyzna — jest to pierwsza część sonaty, którą napisał na początku XIX wieku genialny kompozytor Ludwik van Beethoven. Czasami ten utwór nazywają „Sonatą Księżycową".

I wtedy zacząłem biec. Pędziłem przez całe miasto do centrum mózgów elektronowych. Potykałem się o przechodniów, o tłum odświętnie ubranych ludzi, wyrywałem się z rąk tańczących na ulicach i placach, wyskakiwałem z autobusów, i wreszcie windą uniosłem się na dziesiąte piętro. Szeroko rozwarłem drzwi swojego laboratorium i stanąłem jak wryty. Tam, gdzie kiedyś był „Ludwik" stał błyszczący metalem i plastykiem nowy mózg elektronowy.

Przełożył: **R. G.**

fraszki jana Czarnego

FARMAKOPEA

Lek na wszystko znakomity:
M I T Y.

NAUKA

Rób to co inni robią,
jeśli chcesz żyć wygodnie,
albo płyń z prądem po fali,
albo też pełznij po dnie.

Lewym okiem

ŻYJMY DŁUŻEJ!

Hej, gdzie te czasy, tak przecież niedawne, skoro pamiętam je jak dziś, a nie mam tylu lat co kokietliwy staruszek Hamilton, — gdzie te czasy, powiadam, kiedy przeważająca większość rodaków obchodziła się bez zegarków, bez nieustannego sprawdzania — ile im jeszcze życia pozostało, a za to w harmonijnej zgodzie ze swym czasem wewnętrznym, rozwijającym się spokojnie i powoli jak taśma magnetofonu...

Wszyscy dziś mamy zegarki i może dlatego straciliśmy poczucie czasu, jako organ mniej doskonały od mechanizmu, szczątkowy, skazany na atrofię.

Punktualność stała się wręcz nieprzyzwoitością. Jeśli zapraszają nas na imieniny na siódmą, to broń Boże przyjść przed ósmą, bo gospodarz będzie właśnie szukał spinek pod tapczanem, a pani domu zamknie się w łazience i zacznie rozpaczliwie odkręcać papiloty. Jeśli pociąg ma odejść o piątej, to lepiej przyjść na stację o czwartej, bo a nuż właśnie dziś z trzech kas będzie czynna tylko jedna, w której o pół do piątej zacznie się zmiana obsady, zdawanie pieniędzy, bloczków, plotek i tak dalej. Jeśli lekarz, zwłaszcza w spółdzielni (pozwólcie, że nie wymienię nazwy „Zdrowie"), przyjmuje według rozkładu zajęć od czternastej do szesnastej, a masz numerek drugi to i tak nic nie wiadomo, więc w ogóle najlepiej nie choruj.

Potrafiliśmy — zmuszeni obiektywnym, wyzwolonym już prawie spod ludzkiej kontroli zwariowanym tempem życia — uczynić czas jednym z czynników produkcji. W fabryce liczy się każda sekunda, jest wkalkulowana nie tylko w koszt wyrobu, lecz także w bezpieczeństwo zdrowia i życia pracownika. Musi tak być. Natomiast godzin po fajrancie nikt nie liczy. Inna epoka. To już nie wpływa na plan, czy stoisz na przystanku kwadrans czy trzy kwadranse, czy kupno dwudziestu deka kaszanki zajmie ci godzinę czy cztery; o gastronomii nie wypada pisać, samograj, łatwizna, a i tak nic się nie zmieni. Konferencje też nie zaczną się o oznaczonej godzinie. Nie mogą: albo woźny gdzieś poszedł i zabrał klucz od sali, albo trzeba choć przez chwilę wywietrzyć salę po poprzedniej naradzie, a zresztą jeszcze nie ma ani uczestników, ani prezesa, ani wniosków końcowych. Jeśli zaś przed początkiem nie ma wniosków końcowych to w ogóle ich nie będzie. (Można by rzec, że jeśli są — to konferencja nie jest konieczna; ale to by była czysta herezja).

Żeby tak raz na rok ogłosić tydzień oszczędzania czasu... Cudzego, przede wszystkim. Nie po to, żeby ktoś ten zaoszczędzony czas zużył na jedną gonitwę więcej — za czymś zwyczajnym i potrzebnym, czego zwyczajnie i po prostu nie może zdobyć. Po to, żeby ten ktoś poleżał do góry brzuchem, z żoną pogadał, nie śpieszył się nigdzie, przeczytał po raz trzeci tę samą książkę, był sobą.

Czasu mamy dość. Tylko że spędzamy go w zaplutych poczekalniach, w mrocznych korytarzach, w wielokrotnym przebywaniu tej samej drogi, za tą samą sprawą — i tak to życie ucieka. To przecież też sprawa życia. Całkiem jak w fabryce, przy grożnej, przyczajonej do skoku maszynie.

CWIEK

Komitet redakcyjny: Halina Bekowa, Wacław Biliński (red. naczelny), Konrad Frejdlich, Wanda Karczewska, Jarosław Marek Rymkiewicz, Włodzimierz Stokowski. Kolegium: członkowie komitetu redakcyjnego oraz Lech Budrecki, Zbigniew Faliński, Jan Koprowski, Maria Kornatowska. — Wydawnictwo Prasowe „Prasa Łódzka" — Adres redakcji: Łódź, ul. Piotrkowska 96. Tel. 246-79. Warunki prenumeraty: miesięcznie zł 4; kwartalnie zł 12. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem: na „Odgłosy". Druk: RSW „Prasa" — Łódź Żwirki 17. Zam. 3373. XI. 64. F-4.